

Julia James

Latynoski kochanek

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Proszę spojrzeć. O, tamta. Kto to jest? - spytał Diego Saez, wskazując kobietę przy innym stoliku. Czarnymi, głęboko osadzonymi oczami lustrował nieznajomą, na jego wyrazistej twarzy malowało się zainteresowanie.

Siedzący obok Piers Haddenham popatrzył przez tłum wypełniający salę, w której odbywała się kolacja dla bankowców. Panowała tu atmosfera bogactwa, powietrze przesycił aromat drogich win, cygar i wykwintnych potraw.

- O którą panu chodzi?

- O tamtą blondynkę w niebieskiej sukience.

Przez wąską twarz Haddenhama przemknął nieprzyjemny uśmiech.

- Nawet pan, senor Saez, nie jest wystarczająco dobry dla Portii Lanchester. Ale gdyby jednak w końcu udało się panu włożyć jej rękę pod spódnicę, trafiłby pan tylko na żelazny gorset.

Diego pociągnął łyk burgunda, przez chwilę rozkoszował się jego bukietem. Może i Haddenham był Anglikiem z wyższej klasy, ale jego dusza pochodziła prosto z rysztocka. Diego nie miał złudzeń co do niego i jemu podobnych w tym uprzywilejowanym towarzystwie.

Ale on w ogóle nie miał złudzeń.

A już zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Mogły przez chwilę udawać cnotliwe, jednak w końcu okazywało się, jakie są naprawdę. Ich opór nigdy nie trwał długo.

Znów spojrział na kobietę, która przyciągnęła jego uwagę.

Widział ją tylko z profilu, ale to wystarczyło, by chciał zobaczyć więcej. Miała wygląd angielskiej róży - jasne włosy, przezroczystą cerę i kości twarzy, które świadczyły o jej arystokratycznym pochodzeniu.

- Lanchester... - mruknął.

- Loring Lanchester - odpowiedział Haddenham usłużnie.

- Ach, tak.

Loring Lanchester. Bankierzy kupców i kolonialnych zdobywców w czasach królowej Wiktorii. Teraz, sto lat później, kompletny anachronizm. Już dawno powinni byli dać się przejąć jakiemuś wielkiemu światowemu bankowi, bo tylko to stworzyłoby im szansę przetrwania.

W umyśle Diega, szybkim jak błyskawica, w mgnieniu oka pojawiła się mapa powiązań w londyńskim City, skomplikowana jak ogromna pajęczyna, łącząca instytucje finansowe Zjednoczonego Królestwa, Europy, obu Ameryk i krajów obrzeża Pacyfiku. A jednym z najzręczniejszych pajaków, który wyczuwał każde drgnienie naprężonych nitek tej wielowymiarowej, delikatnej sieci, był on, Diego Saez.

Nikt dokładnie nie wiedział, kim właściwie jest.

Wiedziano jedynie, że pochodzi z Ameryki Łacińskiej. Nie istniała żadna dynastia Saezów - czy to bankierska, czy też w jakiejś innej sferze interesów - która otwierałaby przed nim drzwi. Ale Diego Saez sam sobie te drzwi otwierał.

Otworzył je w Nowym Jorku, Sydney, Tokio, Mediolanie i Frankfurcie, a także w wielu mniej wpływowych centrach finansowych. A teraz otwierał je sobie w Londynie.

I nie musiał wywierać żadnej presji. Gdy tylko wyrażał choćby najlżejsze zainteresowanie jakąś inwestycją, drzwi otwierały się przed nim jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Bo też wyprzedzała go reputacja jednego z najzręczniejszych finansistów na świecie. Saez robił pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

We wszystkim, czego tylko dotknął.

Piers Haddenham został wydelegowany przez prezesa swojego banku, by rozpoznać, z jakimi intencjami Saez przyjechał do Londynu. Jednak za każdym razem, gdy próbował skierować rozmowę na ten temat, napotykał tylko sardoniczne spojrzenie. Tak było do tej pory. Teraz Diego Saez okazał po raz pierwszy zainteresowanie.

Zainteresowanie Portią Lanchester.

Tym Haddenham by się nie przejmował. Gorzej, gdyby Saez zamierzał rozpocząć interesy z bankiem Loring Lanchester.

- Nie są w najlepszej kondycji - powiedział.
- Stary Loring popadł w kłopoty już całe lata temu, ale nie zrezygnuje z funkcji prezesa. A młody Tom

Lanchester, siostrzeniec, jest jeszcze bardziej bezużyteczny. Z tego, co słyszałem, podjął kilka wyjątkowo lekkomyślnych decyzji.

- Ach, tak - mruknął Diego jeszcze raz. - A jego siostra nosi żelazny gorset...

Piers uspokoił się. Jego pierwszy wniosek był słuszny. Saez po prostu szuka kochanki. Ale od oziębłej siostry Toma Lanchestera wiele nie uzyska. Nikt od niej nic nie zyskał. A już na pewno nie ten biedny głupiec Simon Masters, który teraz siedzi obok niej i tylko wzdycha. Piers nie słyszał o żadnym mężczyźnie, któremu udałoby się cokolwiek uzyskać u Portii Lanchester.

Nawet Diego Saez nie zdoła jej rozgrzać, pomyślał. A przecież wiadomo, jakie odnosi sukcesy u kobiet. Głośno było o jego romansach z południowoamerykańską piosenkarką Dianą coś tam, włoską diwą operową Cristiną coś tam, francuską hrabiną, marokańską modelką, węgierską mistrzynią tenisa. A to tylko w tym roku. Przez chwilę Piers poczuł zazdrość, ale zaraz ogarnęła go wesołość. Diego Saez nie zdobędzie Portii.

Pochylił się i powiedział poufnym szeptem:

- Jest oziębła. Stąd ten żelazny gorset. Nie warto tracić na nią czasu. Jeżeli chce się pan zabawić, znam pewien numer. Wystarczy zadzwonić, podać swoje preferencje, a gdy pan wróci do hotelu, ktoś już będzie czekał w apartamencie.

Diego poczuł obrzydzenie, ale grzecznie odmówił.

W tym momencie na mównicę wszedł gość hono-

rowy, stary polityk, i zaczął wygłaszać przemówienie o stanie brytyjskiej gospodarki.

Diego usiadł wygodnie, by wysłuchać, co tamten ma do powiedzenia, ale wzrok skierował na Portię. Siedziała wyprostowana, z lekko uniesioną arystokratyczną brodą. Na jej pięknie rzeźbionej twarzy nie malowały się żadne emocje.

Ciekawe, jak wygląda nago, pomyślał.

Zamierzał się tego dowiedzieć, i to wkrótce.

Portia siedziała nieruchomo, ręce złożyła na kolanach, przybrała obojętny wyraz twarzy, by ukryć nudę, podczas gdy mówca buczał i buczał, rozkoszując się dźwiękiem własnego głosu.

Zresztą cały wieczór był rozpaczliwie nudny. Sama nie wiedziała, dlaczego uległa niekończącym się naleganiom Simona i przyjęła jego zaproszenie. Zrobiła to chyba zarówno z litości, jak i po to, by wreszcie przestał ją zamęczać błaganiami o spotkanie. Simonowi wydawało się, że jeżeli się nie podda, ona w końcu zacznie traktować go poważnie. Jego uparta determinacja, by ją uwieść, jednocześnie irytowała ją i wzruszała. Ale nigdy nie będzie na tyle głupia, by umówić się z nim na prawdziwą randkę.

Była jedyną kobietą przy stole, na sali w ogóle było niewiele kobiet, i w miarę jak opróżniano coraz to nowe butelki wina, mężczyźni zachowywali się coraz bardziej nachalnie. Nienawidziła tego.

Zareagowała, przybierając swoją zwykłą postawę - całkowitą, chłodną obojętność. Nie przyjmując do

wiadomości tego, jak na nią patrzają, mogła udawać, że nic takiego się nie dzieje.

Polityk brzęczał dalej, rozwodził się na temat stóp procentowych i instrumentów podatkowych, co w najmniejszym nawet stopniu jej nie interesowało.

Jednak te słowa sprawiły, że nagle pomyślała o bracie. Biedny Tom. On musi się na tym znać, chociaż nie cierpi tego tak samo jak ona. Ale ich przekłety bank go potrzebował, więc z konieczności Tom zajmował się tymi wszystkimi nudnymi sprawami. Ale przynajmniej dziś udało mu się uniknąć bankietu. Przyplątała mu się jakaś grypa i wołał zostać w domu. Nie miała mu tego za złe.

Spojrzała przed siebie nieobecny wzrokiem i pozwoliła myślom uciec do tego, co ją naprawdę interesowało - katalogu dzieł malarza portrecisty z okresu regencji, Benjamin Tellera. Brakowało jej informacji o kilku obrazach i stało przed nią zadanie prześledzenia ich losów. Znalazła już pewne ślady niektórych, ale musiała się upewnić.

Mówca wreszcie skończył, rozległy się uprzejme oklaski.

- Nalać ci wina? - spytał Simon.

- Nie, dziękuję. Ale chętnie napiłabym się jeszcze kawy.

Simon natychmiast zakrzętnął się przy dzbanku. Portia podała mu swoją filiżankę. Poczowała, że od siedzenia nieruchomo zeszywniał jej kark. Wdzięcznie pokręciła głową w lewo i prawo.

I zastygła.

Jakiś mężczyzna na nią patrzył.

Gorzej. Jakiś mężczyzna przyglądał się jej. Jego głęboko osadzone oczy leniwie ją taksowały.

Przeszył ją gorący dreszcz.

Chciała odwrócić od niego wzrok, ale nie zdołała.

Miał miejsce kilka stolików dalej, dokładnie na linii jej spojrzenia. Był wysoki. To mogła powiedzieć nawet, gdy siedział. Cerę miał ciemną jak na Europejczyka, ale był to naturalny koloryt. Pochodzi znad Morza Śródziemnego? Raczej nie. Za wysoki jak na Greka albo Włocha. Mocno zarysowane kości policzkowe. Silny nos. Linie biegnące do kącików ust. Czarne oczy.

I ciągle się jej przyglądał.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, poczuła, jak znów przenika ją gorący dreszcz. Jak się roztopia.

Przez nieskończenie długą chwilę nie mogła się poruszyć, aż wreszcie największym wysiłkiem woli odwróciła wzrok.

- Śmietanki?

Drgnęła i z trudem skierowała uwagę na Simona.

- Nie, dziękuję.

Czyżby głos jej drżał?

Sięgnęła po filiżankę. Kawa trochę ją uspokoiła. Pijąc powoli, łyk po łyku, odzyskała równowagę.

Och, na litość boską, tłumaczyła sobie. On po prostu ją zaskoczył.

Na ogół zawsze uważała, by nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z mężczyznami, którzy tak na nią patrzyli. Tym razem została przyłapana, gdy się nie pilnowała. Błąd, którego więcej nie popełni. Przywołała na twarz obojętną minę, jaką zawsze przybierała w obecności mężczyzn, którym nie ufała.

Piła dalej kawę, próbując słuchać, co do niej mówi Simon. Ale nagle poczuła mrowienie w karku. I dobrze wiedziała dlaczego.

Nieproszona, pojawiła się w jej umyśle tamta męska twarz, te mocne rysy, ten wyraz cynizmu i seksualnego taksowania.

Jeszcze raz przebiegł ją gorący dreszcz. Miała takie odczucie, jakby została złapana w sidła.

Przestań! - nakazała sobie.

Spróbowała skupić uwagę na Simonie. Był miłym towarzyszem i nigdy jej się nie narzucał. Czuła się przy nim swobodnie, bo był jej obojętny. Nie zagrażał jej.

W przeciwieństwie do tamtego mężczyzny.

Czy teraz, gdy to okropne przemówienie dobiegło wreszcie końca, może już stąd wyjść? Dopije kawę i poprosi Simona, by odprowadził ją do taksówki. Ale nie zgodzi się, by z nią pojechał. Na pewno będzie rozpaczliwie chciał ją zaprosić do jakiegoś lokalu, jednak nie przyjmie zaproszenia.

Ciekawe, czy Tom już poszedł spać. Miała nadzieję, że tak. Potrzebował odpoczynku. Nie wyglądał dobrze.

W zatroskaniu zmarszczyła czoło. Czy to rzeczywiście tylko grypa? Przypomniała sobie, że brat wygląda źle już od kilku miesięcy. Ostatnio niezbyt często go widywała, bo była w Stanach, szukając jednego z obrazów Tellera. Namówi Toma, by wyjechał z Londynu i spędził trochę czasu w Salton, zobaczył się z Felicity.

Oni naprawdę powinni już się pobrać. Tak bardzo

do siebie pasowali. Żadne z nich nie lubiło Londynu i oboje czuli się szczęśliwi na wsi. Portia wiedziała, że Felicity byłaby idealną panią na Salton. Miała instynktowne wyczucie tego miejsca. Nie zaniedbałaby go, ale też nie wprowadziłaby żadnych drastycznych zmian.

Portia żyła w strachu, że Tom ożeni się z kimś innym, z kobietą, która sprowadziłaby armię dekoratorów wewnątrz i zmieniła Salton w jakąś okropną, supermodną rezydencję. Felicity Pethridge nigdy by tego nie zrobiła. Felicity byłaby oddana Tomowi, dałaby mu gromadkę dzieci i zajęła swoje miejsce w długiej linii kasztelanek, które przeprowadziły Salton poprzez wieki.

Jak zwykle przy takich rozmyślaniach, Portia poczuła w sercu ból. Dlaczego angielskie prawo dziedziczenia nie uwzględnia córek? W Anglii w rodowej siedzibie zostaje syn, a córka musi poszukać sobie innego miejsca do życia. I, jak zwykle, ogarnęło ją poczucie winy. To był główny powód, dla którego zastanawiała się nad małżeństwem z Geoffreyem Chandlerem. Pociągał ją nie on, lecz perspektywa zarządzania jego ogromnym elżbietańskim domostwem w Shropshire, w którym na dodatek znajdowała się piękna kolekcja sztuki.

Ale chociaż za tę kolekcję dałaby się zabić, nie wystarczyła jako powód do ślubu. Biedny Geoffrey. Gdyby nie namówił jej na przedślubną podróż, może i by za niego wyszła. Jednak miesiąc w Toskanii uświadomił jej, że nie może. Nawet zbiory sztuki, którymi mogłaby się rozkoszować w dzień,

nie zrekompensowałyby przykrości, jakich doznawałyaby w nocy.

Przeniknął ją dreszcz. Po katastrofie z biednym Geoffreyem po prostu odpuściła sobie seks i ta abstynencja przyniosła jej wielką ulgę. Wiedziała, że mężczyźni uważają ją za oziębłą, ale nie przejmowała się tym. Stało się tak, jak chciała: zostawili ją w spokoju.

Nie lubiła nawet, gdy na nią patrzyli.

Znów poczuła mrowienie w karku. Ten koszmar-ny człowiek nie przestawał się w nią wpatrywać.

- Nie chcę psuć zabawy - powiedziała do Simona - ale jutro muszę wcześniej wstać. Mógłbyś mi wezwać taksówkę? Powinnam już iść.

- Musisz? - spytał rozczarowany. - Myślałem, że może pójdziemy do jakiegoś lokalu...

Wydawał się taki pełny nadziei, że z przykrością mu odmówiła. Ale po co miałyby z nim gdziekolwiek iść? Tylko podsyciłaby jego nadzieje.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Raczej nie, Simon. Przykro mi.

Pożegnała się z osobami przy swoim stole i ruszyła z Simonem do wyjścia. Szli powoli, bo wielu znajomych zatrzymywało ich, żeby zamienić kilka słów. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że stoją przy stole mężczyzny, który przedtem się w nią wpatrywał. Poczuła się nieswojo, ale zaraz zirytowała ją ta reakcja. Zaryzykowała rzut oka w stronę stołu.

Jego miejsce było puste, ogarnęła ją irracjonalna fala ulgi. Zaraz jednak znów się zdenerwowała. Męż-

czyzna stał w pobliżu i rozmawiał z dwoma innymi. Powiedział coś i po akcencie Portia zorientowała się, że angielski nie jest jego ojczystym językiem.

Był rzeczywiście wysoki. Sporo ponad metr osiemdziesiąt, szerokie ramiona, długie nogi, obaj rozmówcy wyglądali przy nim jak podwładni. Ale też Portia zaraz pomyślała, że przy nim każdy mężczyzna będzie wyglądał niekorzystnie.

Do licha, co ja najlepszego robię? - skarciła się. Spróbowała odwrócić od niego wzrok, ale nie mogła.

Nagle spojrzął na nią.

Znów przeszył ją gorący dreszcz.

Przez niekończącą się, niemożliwą do zniesienia chwilę, trzymał ją wzrokiem jak na uwięzi.

Zrobiło jej się gorąco. Stała się nagle bardzo świadoma swoich nagich ramion. I chociaż jej granatowa wieczorowa suknia nie była wydekoltowana, nagle poczuła się okropnie, obrzydliwie wyeksponowana.

Dlaczego nie ma szala - koca! - czegokolwiek, by się osłonić przed tym spojrzeniem?

Ale nie miała nic. Nic, pod czym mogłaby się ukryć.

Automatycznie, bezwiednie, uniosła brodę i skierowała spojrzenie z powrotem na Simona.

Stojący metr od niej Diego Saez uśmiechnął się.

Będzie się dobrze bawił, uwodząc uroczą Portię Lanchester.

I będzie to coś całkiem różnego od jego zwykłych romansów.

Bo dla niego problemem zawsze było pozbyć się kochanki, a nie zdobyć ją.

Chociaż oczywiście zdobywanie Portii też nie przysporzy mu zbyt wielkich trudności. Dobitnie świadczyła o tym jej reakcja na niego. Był to pierwszy krok na drodze, która skończy się w jego łóżku.

Ale nie dziś. Nie ma potrzeby jej przynaglać. Będzie się cieszył każdym etapem uwodzenia. Jutro w południe jego agencja ochrony dostarczy mu jej pełne *dossier* i z tego punktu ruszy. A teraz, póki nie dojdzie do drzwi, będzie się po prostu cieszył zapisywaniem jej w świadomości, że on tu jest.

Patrzył za nią, póki nie zniknęła za progiem, a potem z powrotem skierował uwagę na swojego rozmówcę.

- Loring Lanchester...? - mruknął pytającym tonem. - Czy oni naprawdę mają takie kłopoty?

- Pójdą na dno szybciej niż Titanic. Chyba że znajdzie się w pobliżu jakiś holownik, i to potężny - poinformował go rozmówca i popatrzył na niego z ciekawością.

Ale Diego zachował obojętną minę.

ROZDZIAŁ DRUGI

- W czwartek o drugiej? Wspaniale. Bardzo dziękuję.

Portia odłożyła słuchawkę. Właśnie powiadomiono ją, że potomkowie Coldingów pozwalają na przeszukanie rodzinnych dokumentów. Miała nadzieję, że znajdzie w nich ślad tajemniczego obrazu *Młoda kobieta z harfą*.

Praca w niewielkim, ale prestiżowym instytucie, który badał losy zaginionych dzieł sztuki, nigdy nie przestała jej fascynować. Miała szczęście, że ją tu przyjęto, chociaż z drugiej strony zdawała sobie też sprawę, że dyrektor instytutu, Hugh Mackerras, uważał za jej wielką zaletę fakt, iż była finansowo niezależna. Dzięki temu nie tylko płacił jej wprost śmieszoną pensję, ale i wymagał, by sama opłacała sobie służbowe podróże. Ale ona robiła to z przyjemnością. Cieszyło ją, że własny majątek pozwala jej zajmować się tym, co naprawdę ją interesuje.

Jednak czuła się też trochę winna. Swój całkiem spory dochód zawdzięczała bankowi, a bank prosperował dzięki Tomowi, który tkwił w nim jak więzień. Biedny Tom. Naprawdę nie został stworzony na bankiera. Byłby o wiele szczęśliwszy, chodząc w kaloszach i kurtce po swoich polach i zarządzając farmą.

Myśl o Tomie przypomniała jej wczorajszą kolację.

Zadrżała. Ten okropny mężczyzna niepokoił ją. Czuła, że w jakiś sposób jej zagraża.

Oczami duszy znów zobaczyła, jak siedzi wygodnie na krześle, ogrzewa rękami wino w kieliszku i wpatruje się w nią tymi głęboko osadzonymi oczami.

Tak samo jak wczoraj wieczorem poczuła mrowienie w karku.

Drgnęła rozżłoszczona. Dlaczego tak przesadnie reaguje na człowieka, którego nazwiska nawet nie zna? Ziewnęła. Tej nocy spała źle. Męczyły ją niespokojne sny.

Czarne, wpatrzone w nią, taksujące oczy.

Patrzące z pożądaniem.

Zadzwoił telefon, przerywając ciąg nieprzyjemnych myśli.

- Słucham.

- Mogę mówić z Portią Lanchester?

Nie do wiary! Rozpoznała natychmiast ten głęboki głos z wyraźnym obcym akcentem.

O wilku mowa...

Siłą woli opanowała się.

- Przy telefonie - odparła. Wydawało jej się, że powietrze w jej płucach jest twarde jak kamień.

- Panna Lanchester? Nazywam się Diego Saez. Widziałem panią wczoraj podczas kolacji. Ma pani czas, by pójść dziś ze mną na lunch?

Powietrze w płucach stało się jeszcze twardsze.

- Słucham?

- Czy pójdzie pani ze mną na lunch? - powtórzył.

Usłyszała w jego głosie rozbawienie, jakby spodziewał się po niej właśnie takiej odpowiedzi.

Przez krótką sekundę milczała, a potem czystym, krystalicznym, tnącym jak diament głosem odpowiedziała zwięźle:

- Obawiam się, że nie - i odłożyła słuchawkę.

Uświadomiła sobie, że serce bije jej bardzo nierówno.

Zachowała się nieuprzejmie, ale to było usprawiedliwione. Chciała jak najszybciej przerwać połączenie.

Natychmiast.

Powoli, świadomie, wypuściła powietrze z płuc. Ciekawe, czy zadzwoni jeszcze raz. Ale telefon milczał.

Diego Saez.

Więc tak się nazywa. Hiszpan albo Latynos.

Ale skąd mógł znać jej nazwisko? I numer telefonu do pracy?

Nieważne. I tak nigdzie z nim nie pójdzie.

Dlaczego nie?

Pytanie wśliznęło się jej do głowy jak ostrze sztyletu. Co to w ogóle za pytanie! Ten człowiek patrzył na nią jak na kawałek mięsa na talerzu, a ona pyta: „Dlaczego nie”.

Ze złością zabrała się do pracy i chwilę później zatonała już w świecie sztuki portretowej z początków dziewiętnastego wieku.

Dwie godziny później dostarczono ogromny bukiet: egzotycznie pachnące lilie, przybrane tropikalnymi paprociami. Na bileciku figurowały tylko dwie litery: *D.S.* Przyniosła wazon i włożyła do niego

kwiaty. Ich upojny, idący do głowy zapach przesycał powietrze.

Gdy wieczorem wychodziła, zaniósła wazon do recepcji. Nie chciała go u siebie.

Kilometr dalej Diego Saez patrzył na bilet, który kurier przyniósł mu do hotelowego apartamentu. Leżał obok świeżo wydrukowanego *dossier*.

Miał tu wszystkie informacje, których potrzebował: wiek - dwadzieścia pięć lat, domowy adres, stosunki rodzinne, miejsce pracy, dane o towarzystwie, w jakim się obraca.

Nie przejął się, gdy Portia Lanchester nie przyjęła jego zaproszenia na lunch. Wprost przeciwnie, to mu się spodobało. Gdyby była taka jak inne kobiety, gdyby łatwo uległa jego atencjom, już by go zaczęła nudzić.

Natomiast niespieszne obłężenie będzie o wiele bardziej zabawne.

Portia, idąc za swoją przyjaciółką Susie Winterton i jej matką, z trudem przeciskała się przez tłum zapełniający foyer Królewskiej Opery Covent Garden. Dzwonił już dzwonek obwieszczający, że przedstawienie za chwilę się zacznie, orkiestra stroiła instrumenty. Gdy szła na swoje miejsce, przepełniło ją miłe uczucie oczekiwania. *Traviata* była jedną z jej ulubionych oper. Niestety, w następnej chwili cała przyjemność uleciała. Zszokowana, aż się wstrząsnęła.

Na sąsiednim fotelu siedział Diego Saez.

Wstał, gdy siadała.

- Panno Lanchester - powitał ją uprzejmie, patrząc na nią z kpiącym rozbawieniem.

Susie wychyliła się ku niej.

- Znacie się? - Oczy błyszczały jej z ciekawości.

- Nie - odparła Portia krótko i otworzyła program.

- Widzieliśmy się wczoraj na kolacji - odpowiedział jednocześnie Diego i posłał Susie olśniewający uśmiech. - Diego Saez - przedstawił się, wyciągając do niej rękę.

Zaczęli wesoło rozmawiać. Portia, z nosem w programie, nie odzywała się. Na szczęście wkrótce przegasty światła, przedstawienie się zaczęło.

Ale Portia nie mogła się skupić na muzyce. Była przez cały czas nieprzyjemnie świadoma obecności tego mężczyzny. I chociaż jej nie dotykał, miała wrażenie, że narusza jej osobistą przestrzeń, nie tylko fizyczną, lecz także duchową.

Czuła go obok siebie, wdychała jego zapach - mieszaninę subtelnej wody po goleniu i jego naturalnego, męskiego zapachu. Najgorszy okazał się drugi antrakt. Podczas pierwszego, gdy wszyscy poszli do bufetu, Portia miała przynajmniej towarzystwo Susie i jej matki. Ale teraz, również w bufecie, Susie okazała się prawdziwą zdrąjczynią. Gdy już pili swoje drinki, nagle wykrzyknęła:

- O, widzę Fionę i Andrew. Pójdę się z nimi przywitać. - I pociągnęła matkę do znajomych, zostawiając Portię samą z Diegiem.

Przybrała obojętną minę, zacisnęła palce na szklance z wodą mineralną i zmobilizowała wszystkie siły, by stawić czoło sytuacji. On zapewne znów

zacznie ją zapraszać, zaproponuje kolację po przedstawieniu albo wspomni o kwiatach, które jej przysłał, może wyjaśni, skąd się dowiedział, że ona dziś będzie w operze. Bo doskonale wiedziała, że nie przypadkiem się tu spotkali.

Ale nie zrobił nic takiego. Nagle, zszokowana, poczuła, jak przesuwa palcami po jej karku.

- Powiedziano mi - odezwał się cichym, niskim głosem - że pani jest oziębła. Czy to prawda? - Głaskał ją po karku, a potem jego palce znieruchomiały. Poczuł, jak Portia zadrżała. - Nie, nie sądzę, by tak było - stwierdził i zabrał rękę.

Nie mogła się poruszyć. Ogarnęła ją tak przemożna złość, że przez chwilę obawiała się, iż się nie opanuje i uderzy go w twarz.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Spróbuj - szepnął. - To właściwe miejsce na przedstawienia.

Odwróciła się na pięcie, ale w tej samej chwili chwycił ją za nadgarstek.

- Czasami - powiedział spokojnie - delikatne zaloty są... niewłaściwe.

I puścił ją. A potem nagle odszedł. Patrzyła za nim, a złość zalewała ją lodowatymi falami.

I nie tylko złość. Coś jeszcze. Coś, o czym wołała nie myśleć.

O czym nie będzie myśleć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Polował na nią. Nie znajdowała innego słowa. Czuła się jak osaczony łup myśliwego.

Diego Saez był niezmordowany. I wiedziała, czego od niej chce. Chciał seksu. A mężczyzna taki jak on nie odmawia sobie tego, czego zapragnie.

Cały czas miała wrażenie, że te głęboko osadzone oczy przyglądają się jej, oceniają, czekają na nią. Czekają, aż mu się odda. Aż pozwoli, by jego długie palce przesuwały się po jej nagiej skórze, tak jak już się stało wczoraj w operze. Dotknął jej tylko raz, trwało to kilka sekund, ale wystarczyło, by sobie uświadomiła, jak bardzo ten mężczyzna jest niebezpieczny.

Furia, jaka ją ogarnęła z powodu jego zuchwalstwa, tego, że jej dotykał, że ośmielił się spytać, czy jest oziębła, stała się jej bronią.

Musi tę furię w sobie zachować. Musi. To będzie jej jedyna odpowiedź na jego awanse, gdy znów się spotkają. A wydawało się, że spotyka go wszędzie. Gdziekolwiek szła, on już tam był.

Na przykład nagle, ni stąd, ni zowąd, zachciało mu się być mecenasem sztuki. Londyński świeatek był zachwycony. Przecież Diego Saez to wyjątkowy bogacz!

Widywała go teraz wszędzie: na prywatnych pokazach, aukcjach, a nawet - co było najgorsze ze wszystkiego! - na prywatnych przyjęciach. Przeraziło ją, że tak łatwo wśliznął się do jej własnego kółka towarzyskiego, ale jak mogłaby powiedzieć gospodarzom, by go nie zapraszali, skoro był taki bogaty i atrakcyjny?

I nieważne, że już więcej nie poprosił jej o spotkanie ani nawet nie zatrzymywał się przy niej, by porozmawiać. Ważne było to, że jest w pobliżu, wszędzie. Nie mogła od niego uciec.

Był jak włosienica, jej własna, osobista włosienica, torturująca ciało. Każde jego rozbawione czy kpiące spojrzenie powodowało, że stawała się coraz bardziej tego ciała świadoma. Przez jego taksujący wzrok, nigdy na tyle wyraźny, by przyciągnąć uwagę innych, ale zawsze obecny, nawet gdy nie patrzył prosto na nią, stawała się zbyt wrażliwa na własne ciało. Gdy jadła, widziała wdzięczne ruchy swojej ręki, czuła poruszenia głowy na szczupłej szyi, czuła, jak sukienka ociera się o piersi, jak zaciskają się jej uda...

To była nieustanna tortura.

Jak mógł jej to robić? Jak sprawiał, że była do tego stopnia świadoma siebie? I, co gorsze, o wiele gorsze, świadoma jego?

Świadoma jego czarnych oczu, wciąż na nią patrzących, świadoma jego szerokich ramion, wysmukłej figury, zmysłowego kształtu ust.

A nie chciała być świadoma jego obecności, nie chciała czuć tego panicznego, niepokojącego stru-

mienia krwi w żyłach za każdym razem, gdy go widziała, nie chciała czuć, jak robi jej się gorąco, gdy , na nią patrzy.

Dlaczego nie potrafiła się kontrolować? Dlaczego w ogóle tak na niego reagowała?

Przecież to ostatni mężczyzna, jakim powinna się zainteresować. Nienawidziła takich typów! Mężczyzn, którzy uważają, że świat należy do nich i mogą z niego brać wszystko, co chcą.

Łącznie z każdą kobietą, której zapragną.

I wiedziała doskonale, jak długo zostaje z kobietą, którą już uwiódł. Kilka tygodni, najwyżej dwa miesiące. Przez ten krótki czas jego kochankę widywano z nim wszędzie, brukowce miały używanie, a potem kobieta mu się nudziła i ją rzucał.

A teraz szukał kolejnej.

Musi się zmusić, by go ignorować. A jeżeli nie mogła go unikać, bo wydawało się, że jest wszędzie, mogła przynajmniej postarać się wyglądać jak najbardziej niepozornie. I mało pociągająco.

Spróbowała osłonić się przed nim. Na następny pokaz sztuki włożyła suknię w chińskim stylu, z wysokim kołnierzem, długimi rękawami spływającymi aż do połowy dłoni, i długą do ziemi, a także płaskie pantofle, w których nie kołysała biodrami przy chodzeniu.

Gdy jej dręczyciel się pojawił, natychmiast odszukał ją wzrokiem. Uniosła brodę i patrzyła przez niego tak, jakby był powietrzem, ale mimo to zauważyła kpiące skrzywienie ust.

W pewnej chwili podszedł do niej.

- Bardzo zmysłowe - szepnął. - Musisz to włożyć kiedyś dla mnie, gdy będziemy sami.

I zanim zdążyła coś odpowiedzieć, odszedł.

Patrzyła za nim sztywna z furii. I z czegoś jeszcze, czegoś o wiele gorszego.

Parę dni później postanowiła wyjechać na trochę z Londynu. Pojedzie do Genewy, sprawdzi pewien obraz, sprzedany trzydzieści lat temu. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że to prawdziwy Teller.

Powiedziała o swoich planach Tomowi. Mieszkali w Kensington, w domu podzielonym na dwa apartamenty. Bardzo im to odpowiadało, mieli swoje odrębne mieszkania, ale mogli się spotykać, gdy tylko zapragnęli.

Tom chyba już wyzdrowiał z grypy, ale nadal był wymizerowany i zdecydowanie brakowało mu energii. Portia poczuła wyrzuty sumienia.

- Potrzebujesz urlopu - powiedziała. - Może byś na kilka dni pojechał do Salton?

- Teraz nie mogę - odpowiedział krótko.

Biedny Tom, pomyślała. Ją wszystko, co dotyczyło banku, rozpaczliwie nudziło, ale on musiał się tym zajmować. Jako syn i spadkobierca nie miał wyboru. Jego obowiązkiem było przejąć po ojcu siedzibę rodową i bank. Ona, zaledwie córka, była wolna i mogła zajmować się tym, co ją interesowało, czyli historią sztuki.

- Wszystko w porządku? - spytała nagle, tknięta jakimś przeczuciem. - To znaczy w banku?

Tom spojrział w bok.

- Ogólny stan gospodarki nie jest najlepszy. To uderza we wszystkich.

Ale nie w Diega Saeza, pomyślała cierpko. On właśnie pozwolił sobie na zapłacenie na aukcji rekordowej sumy za holenderską martwą naturę.

Jednak nie będzie myślała o Diegu Saezie więcej, niż to jest konieczne.

- W każdym razie staraj się nie przemęczać - powiedziała. - Chciałbyś, żebym zaprosiła tu Felicity? Podniosłaby cię na duchu. Wiesz, naprawdę powinienes wreszcie ustalić datę ślubu. Dlaczego tak długo zwlekasz?

- Nie ma pośpiechu. Zresztą... - zamilkł na chwilę. - Wcale nie jestem pewny, czy naprawdę pasujemy do siebie.

- Jak to: nie pasujecie! Nigdy nie widziałam dwojga ludzi tak bardzo dobranych jak wy. Felicity szaleje za tobą, a wiem o tym, bo mi się zwierza, gdy jestem w Salton. Tom, chyba z nią nie zerwałś?

Wydawał się zmieszany.

- Ja... bardzo ją lubię, ale... no, ona mogłaby zapewne znaleźć o wiele lepszego męża niż ja. Gdyby tylko się zgodziła, Rupert Bellingham natychmiast by się z nią ożenił.

- Tak, ale ona nie jest zakochana w Rupercie, tylko w tobie!

- Byłoby dla niej o wiele bardziej korzystne, gdyby wyszła za niego - upierał się Tom.

- Felicity nie chce być lady Bellingham. Ona chce być panią Lanchester. Tak więc po prostu nie rozumiem, dlaczego nie ustalisz daty ślubu.

Na twarzy Toma pojawił się wyraz udręki.

- Na miłość boską, przestań mnie męczyć! - wykrzyknął.

Spojrzała na niego zaskoczona. Tom nigdy nie tracił panowania nad sobą.

- Przepraszam - powiedział. - Po prostu, jak już mówiłem, w tej chwili w banku spadło na mnie za dużo kłopotów.

Natychmiast zaczęła mu współczuć.

- Naprawdę musisz bardziej obciążyć obowiązkami wujka Martina. Przecież on nadal jest prezesem i nie pozwala nikomu o tym zapomnieć. Nie powinien zostawiać tobie całej pracy.

Tom nie odpowiedział, ale wydawał się jeszcze bardziej zmęczony. Portia postanowiła już nic więcej nie mówić o niekompetencji przyjaciela i partnera ich nieżyjącego już ojca. Pożegnała się i poszła do siebie.

Wyjazd do Genewy był stratą czasu. Obraz, co do którego miała takie nadzieje, tylko pochodził z pracowni Tellera.

Najchętniej spędziłaby wieczór w domu, wzięła długą kąpiel i poszła wcześniej spać, ale obiecała swojemu szefowi, Hughowi Mackerrasowi, że pójdzie z nim na przyjęcie promujące nową wystawę w jednej z ekskluzywnych londyńskich galerii.

Czy Diego Saez też tam będzie? Miała nadzieję, że wreszcie wyjechał z Londynu, ale na wszelki wypadek bardzo starannie wybrała strój. Nie popełni więcej takiego błędu jak z tą chińską suknią, ukrywającą jej ciało. Tym razem włożyła koktajlową sukienkę

w kolorze wrzosów, którą kupiła jakiś czas temu i natychmiast po przyniesieniu do domu uświadomiła sobie, że nie jest jej w niej do twarzy. W tym kolorze była blada, a rękawy kończyły się tak, że wyglądało to, jakby przecinały jej ramiona.

Ale dzięki temu będzie się w niej czuła bezpiecznie.

W galerii już było tłoczno. Idąc do szefa, który stał po drugiej stronie sali, witała się ze znajomymi i jednocześnie przeczesywała tłum oczami w poszukiwaniu mężczyzny, którego nie chciała tu zobaczyć. Ale chyba go nie było. Zaczęła się uspokajać. I wtedy go zobaczyła: stał za Mackerrasem.

Natychmiast poczuła, jak przeszywa ją dreszcz, ogarnęła ją panika, serce zaczęło walić, płuca się zacisnęły.

Rozpaczliwie walczyła o odzyskanie panowania nad sobą, o przybranie obojętnej miny, którą lubiła prezentować światu.

Przywitała się z szefem, nie patrząc na Diega. Ale musiała się do tego zmuszać, bo coś w niej pragnęło na niego patrzeć, zobaczyć te czarne oczy o ciężkich powiekach, ten mocny nos, wydatne kości policzkowe i te zmysłowe usta, które tak ją niepokoiły.

- Pan Saez - powiedział Hugh Mackerras - wyraził zainteresowanie malarstwem z okresu regencji. Powiedziałem mu, że ty się w tym specjalizujesz.

Uniosła brodę. Musiała w końcu spojrzeć na Diega, bo tego wymagały towarzyskie konwenanse.

Jednak wypowiedzenie kilku słów kosztowało ją wiele trudu.

- Niezupełnie. Benjamin Teller, w którym się specjalizuję, był artystą o wiele mniejszego formatu niż na przykład Lawrence czy Romney.

- Czy wartość jego obrazów wzrasta?

Jego głęboki głos wstrząsnął nią. Tak samo jak pytanie. Typowe dla finansisty, pomyślała cierpko.

- Dla kogoś, kto dysponuje takimi środkami jak pan, Benjamin Teller to zwykła płotka. Całkowicie poza zakresem pańskich zainteresowań.

Zobaczyła, że jej cierpkie słowa nie spodobały się Hughowi.

- Teller to dobra inwestycja - powiedział. - Jak sądzę, w tej chwili jest niedoceniany.

- Hugh, mówisz to tak, jakbyś był marszandem - stwierdziła sucho i zwróciła się do Diega: - Marszandzi - wyjaśniła złośliwie - widzą sztukę jedynie przez pryzmat funtów, dolarów czy euro. Jako inwestycję. Jakby nie miała innej wartości prócz finansowej.

Spojrzała w oczy swojemu dręczycielowi. I zobaczyła w nich dziwny, taksujący wzrok. I jeszcze coś.

Coś niebezpiecznego.

Odrzuciła od siebie tę myśl. Śmieszne! Diego Saez absolutnie nie jest niebezpieczny. Jest po prostu bardzo bogatym, zepsutym mężczyzną, który chce ją mieć w swoim łóżku tylko dlatego, że wyraźnie dała mu do zrozumienia, iż sobie tego nie życzy.

- Więc, panno Lanchester, według pani pieniądze są mało warte?

- W porównaniu ze sztuką, tak.

Uśmiechnął się. Poczowała wewnętrzne szarpnięcie.

- Ale pani nigdy nie musiała obywać się bez pieniędzy, prawda? Ani - dodał sardonicznie - bez sztuki. Zauważyłem, że dwa obrazy na tej wystawie zostały wypożyczone przez pani rodzinę.

Ucieszyła się, że może zvekslować rozmowę na brytyjskie malarstwo pejzażowe. Bezpieczny temat.

- Tak. Rzeczywiście. Mój brat wypożyczył obrazy Gainsborougha i Roberta Wilsona.

- Proszę mi je pokazać - rozkazał.

Już otwierała usta, by automatycznie odmówić, ale chwycił ją za łokieć. Uśmiechnął się do Mackerasa i pociągnął za sobą.

Chciała się wyrwać, jednak wiedziała, że nie może. Nie tutaj. Gdyby jakiś inny mężczyzna tak nią rządził, może by i spróbowała, ale coś w postawie Diega powiedziało jej, że nie da się tak łatwo odepchnąć. Pozwoliła więc, by ją prowadził, pragnąc, by jego dotyk na jej łokciu nie zwielokrotniał tego szarpającego uczucia, które nią wstrząsało.

- Wilson jest tutaj - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej obojętnie.

- Wolałbym zobaczyć Gainsborougha - odparł Diego i zmienił kierunek.

Nie chciała pokazywać mu tego pejzażu. Obraz przedstawiał Salton i nagle wydało jej się to wkraczaniem w jej prywatne życie.

Ale jeżeli nie zamierzała robić sceny, musiała się poddać.

- Który jest wasz?

- Mojego brata - sprostowała. - Tamten, trzeci po lewej.

Puścił jej łokieć i podszedł do obrazu. Poszła za nim.

Stanął w pewnej odległości i przyglądał się pejzażowi.

Portia też spojrzała i poczuła znajome emocje. Były tak silne, że przez chwilę zapomniała nawet o niepokojącej bliskości Diega.

Patrzyła z przyjemnością na obraz, który normalnie wisiał w holu dworu w Salton.

Niewiele zmieniło się od czasów, gdy namalował go jeden z największych artystów Anglii. Przedstawiał południową fasadę domu. Niektóre drzewa otaczające jezioro, znad którego obraz malowano, już nie istniały, a inne wyrosły na olbrzymy z sadzonek z tamtych czasów. Teraz było więcej rabat kwiatowych, a jej prapradziadek założył ogród azaliowy po wschodniej stronie domu, ale poza tym obraz mógł być jak najbardziej współczesny.

Ogarnął ją łagodniejszy nastrój. Chociaż nigdy już nie będzie mieszkała w Salton na stałe, tam wyrosła i kochała tę posiadłość. Tak samo jak jej brat. Zresztą Tom i Salton to jedno. Tam był jego dom. Otrzymał go od swoich przodków w powiernictwo dla syna, którego kiedyś będzie miał, i dla przyszłych pokoleń, tak samo jak przeszłe pokolenia władały nim w powiernictwie dla niego. Nieprzerwany ciąg dziedziczenia przez ponad cztery wieki.

- Jest na sprzedaż?

Gwałtownie odwróciła się do Diega.

- Oczywiście, że nie! - parsknęła zszokowana.
- Wilson też nie! - dodała, zanim zdążył spytać.

- Nie chodziło mi o obrazy - wyjaśnił. - Pytałem o dom.

- O Salton?

- Tak.

Wzięła głęboki oddech.

- Panie Saez, biorę pod uwagę, że nie będąc Anglikiem, ani nawet Europejczykiem, może pan nie rozumieć, iż wiejskie posiadłości przeważnie zostają w tej samej rodzinie, chyba że zajdą jakieś wyjątkowo niekorzystne okoliczności. Właśnie z powodu takich okoliczności w połowie dwudziestego wieku nastąpiła wielka wyprzedaż tego rodzaju majątków i wiele z nich przechodzi teraz z rąk do rąk. Jestem pewna, że każda większa agencja handlu nieruchomościami mogłaby panu pomóc, jeżeli jest pan zainteresowany kupnem.

- Dziękuję za wyczerpującą informację. - W głębokim głosie brzmiał nieukrywany sarkazm. - Jednak idea rodzinnych posiadłości nie jest w Ameryce Południowej nieznana, tak samo jak uczucia, które towarzyszą tej idei.

Oczywiście. Mężczyzna o jego pochodzeniu - z południowoamerykańskiej megaplutokracji - wie wszystko o wielkich, dziedziczonych z pokolenia na pokolenie posiadłościach. Ale nie przejęła się tym.

- Wobec tego nie rozumiem, dlaczego zadaje pan takie dziwne pytania.

- Dziwne? Sama pani przyznaje, że w przypadku „niekorzystnych okoliczności” propozycja kupna może się wydać atrakcyjna.

- Panie Saez, jeśli chodzi o Salton, nie ma

„niekorzystnych okoliczności” - odparowała. -I w związku z tym nie istnieje możliwość, by Salton kiedykolwiek zostało wystawione na sprzedaż. Salton nie jest, i nigdy nie będzie, na sprzedaż.

- Panno Lanchester, wszystko jest na sprzedaż. Wszystko. Jeszcze pani o tym nie wie?

Teraz w jego głosie zabrzmiała kpina, a nawet nieskrywane szyderstwo.

Przez chwilę miała takie wrażenie, jakby łąziło po niej coś obrzydliwego.

Ale zaraz się pozbierała i uniosła brodę.

- Może w pana świecie. Ale nie w moim!

- Naprawdę pani tak uważa? Czy rzeczywiście jest pani tak naiwna? - Nagle wyraz jego twarzy się zmienił i Portia znów poczuła ten gorący dreszcz.

- Wydaje się pani tak nadzwyczajnie niewinna, a jednak była pani zaręczona przez prawie dwa lata.

Wyciągnął rękę i grzbietem palców przesunął po jej szyi, po twarzy. Nie mogła oddychać. Czuła tylko bicie swojego serca. Chciała się poruszyć, ale nie mogła - nie mogła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nagle znalazł się przy niej bardzo blisko. W sali nie było nikogo, tylko oni dwoje. Wdychała jego zapach, mieszaninę męskości i drogiej wody po goleniu. Czuła ciepło jego ciała - i własnego też.

- Nie... - szepnęła niepewnie. Zawładnęła nią panika, oddychała płytko.

- Nie? To właśnie mówiłaś swojemu narzeczonemu?

W jego głosie była kpina, ciekawość, ale i jakaś groźba.

Czuła, jak jego oddech muska jej twarz.

- Mówiono mi, że jesteś zimna, zimna jak śnieg. Ale nie jesteś taka. Czuję to... tutaj.

Jego palce nacisnęły leciutko miejsce, w którym na jej szyi biło tętno. Przyspieszyło, rozgrzewając krew w żyłach. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- Czuję to tutaj - powtórzył szeptem i jego usta spadły na jej wargi, a palce nadal leciutko naciskały puls na szyi.

Krew w niej dudniła, ogarnęło ją poczucie szczęścia.

To był inny świat, inny wszechświat. Nigdy żaden mężczyzna tak jej nie całował. Nie lubiła, gdy ją całowali, i wyraźnie dawała to do zrozumienia.

Ale ten pocałunek był inny.

Był badawczy, a jednocześnie zaborczy, zapowiadała intymność i rozkosz, od której cała topniała.

W końcu Diego uniósł głowę, zabrał rękę, a ona stała, lekko się chwiejąc, oślepiona, oszołomiona.

- Głupcy - mruknął. - Mówić, że jesteś zimna!
- Czubkami palców dotknął jej rozchylonych ust:
- Pod moim dotykiem, dla mnie, nie jesteś zimna.

Chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie. Straciłaby równowagę, ale podtrzymał ją. Przez chwilę patrzył na nią z rozbawieniem.

- Naprawdę myślisz, że możesz ukryć swoją piękność pod sukienką taką jak ta? I myślisz, że możesz przede mną uciec? - dodał niskim, poważnym głosem. - Nadszedł czas - dalej mówił miękko, a mimo to coś w jego głosie przyprawiło ją o dreszcz - byś przestała uciekać. To było zabawne, ale... - Znowu chwycił ją za łokieć. - Powinniśmy wrócić do towarzystwa, zanim ludzie zaczną komentować naszą nieobecność.

W tym momencie przestało jej być gorąco i nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, co właśnie się zdarzyło. Diego Saez ją pocałował. Mężczyzna, który reprezentował wszystko, czego nienawidziła, mężczyzna, który traktował kobiety jak zdobycz, a ją samą jak łup. Szła obok niego, oddychała spazmatycznie. Musi się opanować, nakazała sobie, i wyjść stąd, gdy tylko zdoła.

Targały nią emocje. Czuła się znieważona tym, co właśnie zrobił - z taką obojętnością. Poczęstował się nią, jakby była świeżą dojrzłą brzoskwinia leżącą

na sklepowej półce. A jeszcze gorsze niż zniewaga było to odczucie topnienia, słabości, nadal w niej obecne.

A potem pojawiła się panika, przesłaniając wszystko inne.

Chciała uciec, ale Diego Saez, jakby wyczuwając jej intencje, po prostu zacieśnił chwyt na jej łokciu i prowadził ją przez tłum, zatrzymując się od czasu do czasu, by z jakimś znajomym zamienić parę słów.

Ludzie się jej przyglądali. Widziała w ich oczach spekulacje - czasami jawne, czasami ukryte - na temat obecności Diega przy jej boku.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wreszcie ją dopadł. I już nie pozwoli odejść.

Słyszała jego przerażające słowa.

„Nadszedł czas, byś przestała uciekać”...

Ale ona musi uciec, zmusić go, by zostawił ją w spokoju. Nie będzie taka jak te kobiety, na tyle głupie, by dać się zwabić do jego łóżka na tydzień czy miesiąc.

Tymczasem Diego Saez, przechadzając się pośród tłumy i trzymając ją mocno za łokieć, obwieszczał wszystkim, że tej właśnie kobiety pragnie i ma całkowitą pewność, że ją dostanie.

Czuła się jak niewolnica wleczona przez triumfującego rzymskiego generała, ale nie mogła zrobić nic innego, jak tylko dać się prowadzić. Przybrała twarz w sztuczny, sztywny uśmiech, mówiła to, co należało. Jak w jakimś koszmarze musiała rozmawiać, uśmiechać się, i - co było w tym wszystkim najgorsze - znosić te porozumiewawcze spojrzenia,

ciche uwagi, powodowane nieuchronnie przez stałą obecność Diega Saeza u jej boku.

Jak to się skończy?

Po czasie, który wydawał jej się długi jak wieczność, zorientowała się, że jest ciągnięta do wyjścia. I wtedy, przez oszołomienie, w którym trwała, usłyszała słowa:

- Może innym razem, bo dziś jestem już umówiony.

Poprowadził ją do szatni, pomógł włożyć płaszcz, i wyszli.

Była jak zombie, pozbawiona własnej woli. Diego Saez miał ją w swojej mocy.

Z bijącym panicznie sercem, bezwolnie wsiadła do czekającej limuzyny, a Diego wsiadł za nią.

To nie może się dziać, pomyślała. Nie może!

Usiadła wyprostowana jak struna, patrzyła uparcie prosto przed siebie.

Chciało jej się krzyknąć, wyskoczyć z samochodu. Ale nic nie mogła zrobić. Coś przejęło nad nią kontrolę, coś tak potężnego, że nie mogła się obronić.

Z własnej woli - chociaż na pewno nie ze świadomej chęci - jej głowa się odwróciła, a wzrok spoczął na tym wysokim, ciemnym mężczyźnie, który siedział obok niej.

Uśmiechnął się, niespiesznie, zmysłowo.

- Tak więc, Portio, nareszcie jesteśmy sami.

Gdzieś, w samej głębi siebie, znalazła siłę, by się odezwać.

- Panie Saez, byłabym bardzo zobowiązana, gdyby zechciał mnie pan podrzucić do najbliższego

postoju taksówek. Nie zamierzam spędzić z panem ani chwili dłużej.

Chciała, by jej głos brzmiał lodowato, ale on tylko drżał.

Jego obecność ją przytłaczała, jak wielki ciężar zgniatający płuca.

- Jedziemy na kolację - wyjaśnił obojętnie. - Zarezerwowałem stolik u Claridge'a.

- Więc proszę odwołać rezerwację - zachnęła się, przepełniona furją, która przeważała nad paniką.

- Nie pójdę z panem na kolację.

Spojrzała mu w oczy. To był błąd. Gdy napotkała jego wzrok, przez jej żyły popłynął gorący strumień roztopionej lawy.

Poczucie zagrożenia było niemal dotykalne.

I coś więcej niż tylko zagrożenie.

Coś, czego nie potrafiła nazwać.

Wyciągnął do niej rękę. Lekko przesunął grzbietem palców po jej policzku.

Odkoczyła, jakby poraził ją prąd.

- Proszę mnie nie dotykać! - wykrzyknęła w panice.

- Ależ, Portio, ty chcesz, żebym cię dotykał. A ja chcę dotykać ciebie. Bardzo chcę.

Nachylił się nad nią. Nic nie mogła zrobić. Zamknęła oczy.

Jego usta dotknęły jej warg, długie palce przyciągnęły jej głowę. Lawa w żyłach popłynęła szybciej.

Próbowała wzbudzić w sobie złość, odepchnąć go, uderzyć w twarz.

Ale nie mogła. Mogła jedynie siedzieć i pozwalać, by jej ciało topniało pod jego dotykiem.

W pewnym momencie odsunął się i Portia mgliście sobie uświadomiła, że samochód stoi.

Diego przesunął palcami po jej nabrzmiałych ustach. Drżała. A jego oczy były ciemne, takie ciemne.

- Portio, dziś wszystko się zaczyna.

Uśmiechnął się.

Był to uśmiech zmysłowy, ale i świadczący o nieokiełznanej pysze.

I właśnie ten uśmiech to sprawił. Przełamał paraliz, który trzymał ją bezbroną, jak w sidłach. Jakby wypływając na powierzchnię z głębokiej, ciemnej wody, poczuła nagłą, wszechogarniającą złość.

Złodowaciała z furii.

Z furii na Diega Saeza, który ośmielił się - ośmielił! - jej to zrobić. Poczęstować się nią, jakby miał do tego prawo.

A ona mu na to pozwoliła. Nie opierała się. Jak mogła to znieść, ona, która nie lubiła pocałunków Geoffreya, mężczyzny godnego szacunku, do którego czuła sympatię, a może nawet kochała, jak mogła znieść pocałunek, dotyk, kogoś takiego jak Diego Saez?

Ale pozwoliła mu na to. Pozwoliła mu też paradować z nią podczas wystawy, co dawało wszystkim do zrozumienia, jakie ma wobec niej intencje.

Dała się ponieść fali furii. Na niego. Na siebie. To była jej jedyna obrona, jej zbawienie. Jedyna szansa, by uciec, gdy jeszcze nie stała się większa szkoda. Bo gdyby została...

Otworzyła drzwi samochodu i wyskoczyła. Stała na chodniku sztywna ze złości.

Diego wysiadł z drugiej strony i podszedł do niej.

- Chodź - powiedział, biorąc ją pod rękę.

Ostro się szarpnęła. Drżała z wściekłości. Więc ten arogant uważa, że ona tak po prostu wpadnie do jego łóżka jak dojrząła brzoskwinia, tylko dlatego, że on tego chce.

- Zabierz ręce!

Cały świat przestał istnieć. Niezbyt jasno zdawała sobie sprawę, że stoją przed Claridge'em. Widziała portiera, kilka osób wysiadało z taksówki.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, serce jej waliło, oddychała spazmatycznie. W głowie czuła ucisk. Przyspieszyła.

Usłyszała za sobą szybkie kroki.

Na jej ramię spadła ciężka ręka, zatrzymała ją, obróciła.

- Portia... - Oczy lśniły mu niebezpiecznie. Jego łup uciekał, odchodził od niego.

- Zostaw mnie! - krzyknęła i próbowała się uwolnić.

Ale nie puścił jej. Wprost przeciwnie, zacisnął rękę tak, że aż zabolowało.

Ogarnęła ją panika. On nie pozwoli jej odejść.

- Jak śmiesz mnie szarpać?! - zawołała nieprzytomna z furii. - Jak śmiesz mnie dotykać? Jesteś odrażający! - Zaczerpnęła tchu, uniosła głowę. Stał przed nią, taki wysoki, władczy; jego twarz pociemniała, gdy rzuciła mu te brutalne słowa. Nie obchodziło jej to. Nie obchodziło jej nawet to, że

urządza scenę na ulicy. Wreszcie dawała upust tym przerażającym uczuciom, które w niej budził.

Odstąpiła o krok.

- Czy naprawdę myślałeś - mówiła z lodowatą pogardą - że możesz ot tak po prostu się mną poczęstować? - Patrzyła na niego z zimną pogardą, z odrazą. - Naprawdę ci się wydaje, że mogłabym choć przez chwilę rozważyć romans z tobą? Z mężczyzną o twojej przeszłości? Twojej reputacji? Czy naprawdę myślisz, że poniżałabym się romanssem z mężczyzną takim jak ty? A może sądzisz, że twoje pieniądze robią z ciebie mężczyznę, którego mogłabym przyjąć?

Coś w jego oczach się zmieniło. Przez sekundę miały taki wyraz, że się złękła. A potem to coś odeszło. Jego twarz stała się jak maska. Absolutnie bez wyrazu.

Stał nieruchomo, ale był to bezruch jaguara zaczajonego w dżungli.

Zastygłego, zanim skoczy, by zabić.

Strach, który ją ogarnął, odsunął lodowatą wściekłość i jeszcze inne uczucie, z którym nie umiała sobie poradzić, którego nie mogła przyjąć do wiadomości ani sobie na nie pozwolić.

Gdy w końcu się odezwał, jego głos był wyzuty z wszelkich emocji.

- Wobec tego, jeżeli takie są pani odczucia, pozwoli pani, że się pożegnám.

Odwrócił się i spokojnym krokiem poszedł do hotelu.

Odszedł.

Portia długą chwilę stała, nie mając siły się ruszyć. Potem powoli, z trudem zaczęła iść.

Po wejściu do hotelu Diego Saez skierował się do baru. Barman raz tylko na niego spojrzął i natychmiast podszedł.

- Whisky - rzucił Diego.

W jego policzku pulsował nerw.

W głowie płonął mu pewien obraz.

Nie Portii Lanchester.

Innej kobiety.

Szykownej, nieskazitelnie ubranej, o włosach tak czarnych, że aż wpadały w granat, upiętych na głowie na kształt węża. Miała bardzo czerwone usta, a oczy czarne jak grzech. Zupełnie inne niż zimne, szare oczy Portii Lanchester.

Ale ich wyraz był taki sam.

Pogarda. Odraza. Zgroza.

Znów słyszał ten głos.

- Ty? Syn Carmity? Niemożliwe!

I popłynął potok hiszpańskich wyzwisk. Ohydnych, plugawych. Uniosła lśniąca od brylantów rękę i dramatycznym gestem wskazała drzwi.

- Wynoś się! Wynoś się albo każę cię wyrzucić!

Z całej tej sceny najbardziej wbił mu się w pamięć totalny brak wiary w głosie Mercedes de Carvello. Była absolutnie, całkowicie niezdolna do tego, by uwierzyć, że syn jej służącej wrócił, przeszedł przez jej własne drzwi, wszedł do jej salonu i powiedział, że teraz on jest właścicielem posiadłości.

To był najśrodszy moment w jego życiu.

I najbardziej gorzki.

Bo przyszedł za późno dla tych dwóch osób, dla których kupił majątek. Jego ojciec nie żył od piętnastu lat. Zmarł z powodu rakotwórczych substancji beztrosko stosowanych na plantacji bananów, a matkę przejechał samochód. Sportowy samochód, który Mercedes po wypiciu butelki szampana prowadziła z szybkością co najmniej stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Mercedes de Carvello traktowała służących jak śmiecie.

Ale teraz brał odwet. Dzięki morderczej pracy uciekł od nędzy, w jakiej się urodził, a dzięki głupiej ekstrawagancji męża Mercedes był właścicielem zarówno ziemi, jak i tego domu. Domu, do którego w chłopięcych latach miał wstęp wzbroniony.

Mógł z tym miejscem zrobić, co tylko chciał.

Z miejscem, w którym Mercedes de Carvello nie miała już prawa przebywać.

Kiedyś, gdy miał dwanaście lat, a ciało jego matki jeszcze nie ostygło w grobie, oznajmiła mu, że nie ma prawa tu dłużej być. Wyrzuciła go i zabroniła swoim pracownikom pomagać mu. A zrobiła to, bo za to, że zabiła jego matkę, ośmielił się nazwać ją morderczynią.

Odszedł, nie biorąc nic ze sobą, bo też nic nie posiadał, i przemierzał długie, wyczerpujące kilometry, tydzień po tygodniu, kierując się do miasta. Stopy mu krwawiły, wychudł tak, że została z niego sama skóra i kości, głodował, podobnie jak bardzo wielu innych niechcianych, niepotrzebnych chłopców w jego kraju.

Nie zabrał ze sobą nic prócz palącego pragnienia sprawiedliwości.

Sprawiedliwości, dla której żył przez te długie lata, aż wreszcie mógł rozkazać Mercedes de Carvello, by odeszła z domu, który przestał być jej własnością.

Wolno, bardzo wolno, jego oczy znów zaczęły patrzeć przytomnie.

I zobaczył inną twarz. Zimną, jasną, angielską.

Przepełnioną odrazą.

Pogardą.

Wobec niego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Portia stała przy oknie w Porannym Saloniku i patrzyła na trawniki ciągnące się aż do jeziora i wykwitające z zieleni główki narcyzów. Po czystym niebie mknęły obłoczki.

Westchnęła z zadowoleniem. Poranny Salonik był jednym z jej ulubionych pokoi w Salton. Powoli ogarniało ją uczucie spokoju, wygładzały się porannie do żywego nerwy.

Tu, w Salton, będzie bezpieczna.

Przyjechała wczoraj, powiadomiwszy szefa przez telefon, że bierze kilka dni zaległego urlopu.

Jechała tu tak, jakby gonił ją diabeł.

Bo on jest diabłem, pomyślała. Wodzi na pokuszenie.

Nawet tutaj, patrząc na te spokojne ogrody, wiedziała, że jeżeli choć na chwilę straci czujność, opadną ją natrętne wspomnienia, odbierając spokój, nękać ją.

Nie chcę go. Nie chcę...

Powtarzała to sobie jak mantrę, kurczowo trzymając się tej decyzji. Bo pragnąć Diega Saeza byłoby objawem choroby umysłowej.

Poczuła mrowienie w piersiach i szybko odwróciła się od okna.

Nie pozwoli, by to ją dopadło. To było jak choroba, jak jakiś wirus. Ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu Diego Saez przełamał jej obronę. Obronę, którą budowała z uporem od chwili, gdy zrozumiała, że seks nie jest dla niej, bo nie sprawia jej żadnej radości.

Przypomniała sobie, co niedawno powiedziała jej Susie.

- Och, na miłość boską, Portia, Geoffrey po prostu nie był tym właściwym mężczyzną. Dlatego nie lubiłaś seksu z nim. Ty potrzebujesz kogoś takiego jak Diego Saez! Nie ma na świecie ani jednej kobiety, której nie potrafiłby dać rozkoszy!

Przez jedną gorącą, wstydliwą chwilę stanęła jej przed oczami wizja: leży na łóżku, Diego zbliża się do niej, rozwiązuje krawat, zrzuca marynarkę. Spojrzenie jego czarnych oczu skupia się na niej. Wie, co zaraz się stanie...

Nagle całe jej ciało przeszył zmysłowy dreszcz. Ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą.

Pójdzie na spacer. Zerwie trochę kwiatów. Potem wypije herbatę w bibliotece.

Poczuje się wtedy bezpiecznie.

Będzie bezpieczna.

Tu Diego Saez nie może jej zagrozić.

Tak upłynęły trzy dni.

- Słucham, pani T.

- Dzwonił brat panienki - powiedziała gospodyni. - Prosił, by przekazać, że jutro przyjeżdża.

Portia uśmiechnęła się.

- Tak się cieszę! Ostatnio Tom okropnie się pracowuje. Mówiłam mu, żeby uciekł z tego okropnego banku i przyjechał tu na jakiś czas.

- Panno Portio, mówił jeszcze, że przywiezie kogoś ze sobą - dodała pani Tillet.

Portia skrzywiła się.

- Szkoda!

Potem, zwinięta wygodnie na kanapie w bibliotece, zastanawiała się, kogo też Tom przywiezie. W Salton często odbywały się spotkania biznesowe i Portia pełniła wtedy rolę pani domu. Pomyślała, że warto zadzwonić do Felicity i zaprosić ją na kolację, ale zaraz zrezygnowała, bo przypomniała sobie nieprzyjemną reakcję Toma, gdy nakłaniała go, by się oświadczył dziewczynie, tak wyraźnie w nim zakochanej.

Zmarszczyła czoło. Dlaczego wtedy tak się wzburzył? Czy z powodu męczącej go grypy, czy też może sprawy w banku szły źle, a na pomoc wujka Martina nie można było liczyć? Wujek miał wszystkie przywileje związane ze stanowiskiem, ale dbał, by nie obciążano go żadnymi obowiązkami.

Przypomniały jej się słowa wypowiedziane głębo-
kim, niskim głosem: „Niekorzystne okoliczności”. Absurdalne! Diego Saez nic nie rozumiał. Jeśli chodzi o Salton, nie może być „niekorzystnych okoliczności”. Salton należało do Lanchesterów od setek lat. To prawda, że bank Loring Lanchester znacznie się przyczynił do rodzinnego bogactwa, ale Tom nie był od niego uzależniony. Gdyby to okazało się

konieczne, Salton byłoby samowystarczalne. Oprócz tego ona i jej brat mieli solidne portfele akcji, z których czerpali całkiem przyzwoity dochód.

Więc dlaczego wstrząsnął nią dreszcz strachu, a ten niski, głęboki głos, pytający, czy Salton jest na sprzedaż, ciągle rozbrzmiewał, po prostu huczał jej w głowie?

„Portio, wszystko jest na sprzedaż”.

Jej twarz przybrała wyraz pogardy. Tak, w świecie Diega Saeza wszystko ma swoją cenę. Mężczyzna tak bogaty jak on, zepsuty, z takim pochodzeniem jak jego - księżę pampy, czy też czegoś tam, tego, co istniało w jego części Ameryki - myśli właśnie w ten sposób. Zobaczyła oczami duszy jego twarz, te głęboko osadzone czarne oczy, ten cyniczny, zmysłowy grymas ust.

Ust, które ją całowały.

Gwałtownie odepchnęła wspomnienie. Nie będzie o tym pamiętać. Nie wolno jej!

Diego Saez odszedł z jej życia. Wygnała go. Dała mu bardzo jasno do zrozumienia, że jego atencje są dla niej odrażające, a zaproszenie, by na jakiś czas dołączyła do kolekcji jego łożkowych zdobyczy, nie do przyjęcia.

Nie chciała Diega Saeza.

A on zrozumiał jej komunikat. Przyjął go do wiadomości i odszedł.

Ale czy na pewno? Czy taki mężczyzna jak Diego Saez rezygnuje z tego, na czym mu zależy?

Z zaciśniętymi ustami wstała, bo już trzeba było się ubierać na powitanie gościa.

Włożyła niebieską dżersejową sukienkę. Była wyjątkowo odpowiednia na przyjęcia - i większe, i kameralne - tu, w Sałton. Dekolt w łódkę ładnie podkreślał jej ramiona, a rękawy do łokcia zwracały uwagę na szczupłość i wdzięczny kształt rąk. Wsunęła skromne pantofelki na wysokim obcasie, wybrała naszyjnik, w uszy wpięła kolczyki od kompletu. Sprawdziła jeszcze, czy kok jest idealnie ułożony, i zeszła na dół.

Ich gość będzie tu za chwilę. Chociaż nie było to potrzebne, poszła do sali jadalnej sprawdzić przygotowania. Na dużym mahoniowym stole lśniły kryształ i srebra, pośrodku, wśród srebrnych świeczników, stała kwiatowa kompozycja. Na kominku palił się ogień, na ścianach wisiała kolekcja rodzinnych portretów, krajobrazów i martwych natur.

Portia z uśmiechem pomyślała, ile przyjęć ten pokój już musiał widzieć. I ile jeszcze zobaczy.

Z dworu dobiegł warkot silnika. Tom i jego gość byli już na miejscu. Po chwili podwójne drzwi otworzyły się i wszedł Tom.

Nagle poczuła się tak, jakby otoczyła ją ciemność. Z przerażeniem wpatrywała się ponad ramieniem brata w mężczyznę, który szedł za nim. W uszach zaszumiała jej krew, powietrze w płucach stężało.

To niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Jakby z bardzo daleka dobiegł ją głos Toma, ale nie zrozumiała, co mówi. Jedyńm zmysłem, który jeszcze w niej działał, był wzrok.

A widziała, jak w sennym koszmarze, wysokiego,

ciemnego, niebezpiecznego mężczyznę, którego tak gorąco pragnęła nigdy już nie zobaczyć.

Szedł do niej. Znała ten elastyczny, pewny siebie krok. Znała te oczy o ciężkich powiekach i wyraziste, przyciągające uwagę rysy.

Zatrzymał się przed nią.

- Dobry wieczór, Portio - powiedział, biorąc ją za rękę.

Było jak w złym śnie. Bardzo złym śnie.

To nie może być prawda, nie może! Diego Saez nie może tu stać, tu, w salonie w Salton, przed nią.

Chciała wyrwać rękę. Rozpaczliwie tego pragnęła. Ale on trzymał ją jak w żelaznych kleszczach, jakby wiedział, czego pragnie całą sobą.

Potem nagle ją uwolnił.

Walczyła o powietrze. Nie mogła oddychać. Usłyszała, że Tom coś mówi, i największym wysiłkiem woli odwróciła się do niego.

- Czy wy się już znacie? Señor Saez, nic mi pan o tym nie mówił.

Portia nie była w stanie odpowiedzieć. Nie była w stanie zrobić nic więcej, jak tylko próbować nabrać powietrza w płuca i utrzymać się na nogach.

- Widzieliśmy się kilka razy - odparł Diego. Portia zadrżała, chociaż nie było jej zimno. - Kupowałem obrazy - kontynuował, jakby to było jakieś wyjaśnienie.

- Ach tak. - Tom skinął głową. - Oczywiście.

- I właśnie w zeszłym tygodniu - Diego mówił tym samym gładkim, głębokim głosem, od którego

Portię przenikały zimne dreszcze - miałem okazję być na otwarciu wystawy brytyjskich pejzaży z osiemnastego wieku. Salton Gainsborougha... - przerwał na chwilę - pozostaje w pamięci.

Spojrzał obojętnie na Portię. Wiedziała, że to nie obraz pozostał mu w pamięci. Wspomnienie pocałunku paliło ją żywym ogniem. Odwróciła wzrok.

Co on tu robi? - zastanawiała się rozpaczliwie. Dlaczego Tom go zaprosił?

Na ratunek przyszedł jej zdrowy rozum. A dlaczego miałyby go nie zapraszać? Obracają się w tych samym świecie finansów, chociaż Diego Saez operuje na skalę globalną. Czyżby Tom prowadził z nim interesy? Nawet jeżeli tak było, nie mogła nic mu powiedzieć. Nie mogła wyjawić, dlaczego byłaby temu taka przeciwna. Nie mogła powiedzieć, że Diego Saez nie jest mile widziany w Salton, bo usiłuje ją zaciągnąć do łóżka!

Nie mogła nic zrobić. Nic! Musiała zaakceptować jego obecność i grać rolę miłej pani domu dla mężczyzny, któremu życzyła wszystkiego, co najgorsze! Z jakiegoś okropnego powodu Tom uważał za stosowne zaprosić Diega Saeza tutaj, do Salton, bo zapewne mieli jakieś wspólne sprawy dotyczące banku, a ona nie mogła zrobić z tym nic, absolutnie nic!

Zmobilizowała całą swoją samokontrolę, by jakoś przebrnąć przez kolację.

Miała nadzieję, że brat i niemile widziany gość będą omawiać interesy, ale tak się nie stało. Tom ciągle starał się wciągać ją do rozmowy. Przesuwając

jedzenie po talerzu, lojalnie usiłowała mu pomóc, bo widziała, w jakim jest stresie. A Diego nie patrzył na nią tak, jak zawsze. Gdy do niej mówił, na jego twarzy malowała się obojętność i to denerwowało ją jeszcze bardziej niż taksowanie wzrokiem, jakiemu zwykle ją poddawał.

Wreszcie nadszedł czas, by pozostawić ich przy porto.

Pobiegła na górę i skryła się w swoim pokoju. Myślała, że w Salton jest bezpieczna, ale Diego Saez wszedł tu tak, jakby był do tego upoważniony.

Dlaczego? Przecież nie przyjechał tu dla Toma. Przyjechał tu dla niej. Czuła to każdym nerwem.

Był zły. Zły na nią, bo ośmieliła się go odepchnąć. Ośmieliła się potraktować go z pogardą za tę arogancką myśl, że może ją sobie wziąć, ośmieliła się okazać obrzydzenie dla jego łibertyńskiego stylu życia.

No i co z tego? Ona też była zła. Powiedziała mu czystą prawdę, więc dlaczego miałyby się przejmować jego złością?

Bo jest niebezpieczny...

Nagle przyszła jej do głowy przerażająca myśl.

Czy jemu się wydaje, że mógłby odwiedzić ją w nocy? W jej sypialni, pod dachem jej brata?

A jeżeli przyjdzie, jeżeli w środku nocy usłyszy, jak otwierają się drzwi, to co właściwie ma zrobić?

To nieśmiałe, podstępne pytanie przedostało się za jej mury ochronne.

Przed oczami stanęła jej natrętna, zmysłowa wizja: Diego wchodzi do jej sypialni, zdejmuje krawat,

zbliża się do niej, zrzuca marynarkę, ręce zsuwają się na pasek spodni...

A ona leży na łóżku, czeka na niego...

Poczuła przypływ gorąca, palącego jak powolny, zmysłowy płomień.

Ogarnęła ją słabość, jakby była głęboko pod wodą. Ale już w następnej chwili zaczęła walczyć o wynurzenie się na powierzchnię. Do zdrowego rozsądku. Do normalności.

Spała źle, miała koszmary, których po obudzeniu nie pamiętała. Bała się też, ale nie chciała pamiętać, czego się boi. Świadomość, że w innym skrzydle domu jest Diego Saez, że śpi pod dachem Salton, napełniała ją niepokojącymi emocjami. Jej drzwi nie miały zamka, więc przysunęła do nich toaletkę, chociaż stanowiła słabą barierę dla takiego mężczyzny jak ten, który ją prześladował.

Ale nie było nocnej wizyty i gdy w końcu mocno zasnęła, obudziła się dopiero o dziesiątej. Poczuła ulgę. Przynajmniej ominęła ją tortura wspólnego śniadania. Przy odrobinie szczęścia mogło się zdarzyć, że ich niechciany gość już wyjechał.

Niestety. Gdy ostrożnie zeszła na dół, pani Tillet powiedziała jej, że Tom i gość zamknęli się w bibliotece. Zjadła coś, a potem wyszła na dwór i skierowała się do włoskiego ogrodu. W tym niewielkim, ukrytym ogródku rano zawsze świeciło słońce. Dobrze się tu czuła. Usiadła na ławce i niewidzącym wzrokiem patrzyła na poruszone wiatrykiem wiosenne kwiaty.

Czekała. Czekala, az będzie mogła bezpiecznie wrócić do domu.

Słońce świeciło, ale jej było zimno. Wysilała słuch, by wyłapać dźwięk silnika samochodowego, który oznaczałby, że Salton znów jest bezpieczne.

Ale zamiast silnika samochodu usłyszała kroki. Zakrećilo jej się w głowie.

Diego Saez wszedł do ukrytego ogrodu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Portia zastygła. Widział to wyraźnie, tak samo jak wczoraj wieczorem, gdy szedł do niej przez salon. Była tak sztywna, jak sztywna może być tylko obrażona kobieta z jej klasy, zupełnie jakby okryła ją całą jakaś niewidzialna warstwa lodu.

Gdy się do niej zbliżał, znów widział te delikatne rysy, szczupłe ręce, dyskretną krągłość piersi pod miękkim kaszmirem sweterka. Tak bardzo chciałby wziąć ją w ramiona...

Ale na jej twarzy malował się wyraz lodowatej pogardy, która działała na niego jak czerwona płachta na byka, podsycając jego własną złość.

Przyszła tu, by uciec od niego. Mogła to równie dobrze napisać wielkimi literami! Tak samo było wczoraj, gdy odeszła od stołu i więcej się nie pokazała. On też był na nią zły. Ale trzymał tę złość na uwięzi jak jaguara na smyczy. Nie pokaże tego po sobie. Nie zniży się do jej poziomu!

Uspokoił gotującego się do skoku jaguara. Zagra z nią w o wiele przyjemniejszą grę.

Portia czuła, jak cała lodowacieje, ogarnęły ją furia i strach jednocześnie.

Furia, bo on śmiał - śmiał! - ją prześladować.

Strach, bo było coś w sposobie, w jakim się do

niej, coś nieubłaganego w jego długim, rytmicznym kroku, co wyciskało jej powietrze z płuc.

I czuła coś jeszcze. Coś, co odpychała od siebie tak, jakby nagle na gołej skórze zobaczyła jadowitego pająka. Ale nie zdążyła go zrzucić. Pająk ugryzł i wsączył truciznę.

Chciała zerwać się na nogi, odwrócić się na pięcie i wybiec z ogrodu, znaleźć się jak najdalej od tego mężczyzny. Ale lód w jej żyłach powodował, że nie mogła się poruszyć. Zdołała tylko zacisnąć ręce na swetrze przy szyi, tak jakby to mogło rozluźnić jej zaciśnięte gardło.

Usłyszała swój głos, ostry jak stal, tnący.

- Nie wiem, po co pan tu przyszedł, ale chcę, żeby pan natychmiast odszedł! Nie mam panu nic do powiedzenia.

Zatrzymał się. Był o kilka metrów od niej. Przytłaczał ją swoim wzrostem. Znów próbowała wstać z ławki i znów zdała sobie sprawę, że przekracza to jej możliwości.

Przez długą, paraliżującą chwilę on po prostu stał i patrzył na nią. Miał na sobie idealnie skrojony garnitur, w którym wydawał się jeszcze wyższy i mroczniejszy. Wpatrywał się w nią tymi swoimi obsydianowymi oczami, a powietrze w jej płucach coraz bardziej tężało.

- Muszę pani o czymś powiedzieć - odezwał się w końcu. - I postąpi pani rozsądnie, słuchając tego.

- Nie wyobrażam sobie, by cokolwiek, co chciałby mi pan powiedzieć, mogło mnie zainteresować.

Przez chwilę patrzył na nią obojętnie, a potem

lekkim ruchem głowy wskazał jasnozłotą bryłę domu. Powoli znów zwrócił spojrzenie na nią, a to, co zobaczyła w jego oczach, sprawiło, że poczuła się pusta w środku.

I wtedy, nadal z twarzą bez wyrazu, oświadczył:

- Jeżeli chce pani uratować swój cenny rodzinny dom, wysłucha pani każdego mojego słowa.

Natychmiast w pełni skupiła na nim uwagę.

Poczuł zimną radość. Znów pomyślał o Mercedes de Carvello, o tym, jak zszokowana wpatrywała się w niego, gdy poinformował ją, że jej dom należy teraz do niego.

Teraz, w innym miejscu, pod innym niebem, Portia Lanchester, która uważała, że jest dla niego za dobra, patrzyła dokładnie tak samo.

- Pan zwariował!

Milczał. Widział ręce zaciśnięte na swetrze, miękkie lśnienie pereł na jej szyi.

I nagle stanęła przed nim wizja Portii nagiej, tylko w tych perłach. Szła do niego. Do jego łóżka. By zrobić wszystko, co chciał, by zrobiła.

I tak się stanie. Wiedział to instynktownie.

Wiedział, bo Mercedes de Carvello właśnie tak postąpiła.

Odepchnął wspomnienia. Nie będzie myślał o tym, jak kobieta, która zabiła jego matkę, która przejechała ją jak psa, przyszła do niego tego wieczoru, gdy wrócił do San Cristo z sercem przepełnionym zimną radością, że posiadłość, która wdeptała jego rodziców w pył, jest jego. Nie będzie myślał o tym, jak weszła do jego apartamentu w luksusowym hote-

lu i szła do niego, zrzucając po drodze ubranie, żeby oddać się mężczyźnie, którego, gdy był chłopcem, wyrzuciła z domu, z tego domu, który teraz stał się jego własnością, domu, dla odzyskania którego zrobiłaby absolutnie wszystko.

Wyrzucił ją za drzwi, przepełniony obrzydzeniem, wzdargą.

Ale tej kobiety, która teraz przed nim siedzi, unosząc wysoko arystokratyczną brodę, jakby delikatnym noskiem mogła czuć odór jego dawnej nędzy, tej nie odrzuci.

Co w niej jest takiego, pytał siebie nie po raz pierwszy, że tak bardzo jej pragnie? Nie była podobna do kobiet, z którymi zwykle romansował. Zawsze wolał kobiety o bujnych kształtach, umiejące kusić i podniecać, w pełni świadome swojej zmysłowości.

Portia Lanchester była inna. Wiedział o tym od pierwszej chwili, gdy padło na nią jego spojrzenie. Wydawała się taka nieobecna. Tak całkowicie nieświadoma wlepionych w nią męskich oczu.

Oprócz jego oczu.

Znów nawiedziło go wspomnienie momentu, gdy uświadomiła sobie, że na nią patrzy, i rozpoznała jego pożądanie.

Przez ten króciutki moment pozwoliła mu na siebie patrzeć, a potem znów przybrała lodowatą minę i wyrzuciła go ze swojej świadomości.

Nie wzbudziło to jego irytacji. Przeciwnie, zainteresowało go. Gdyby odpowiedziała na jego spojrzenie z satysfakcją, tak jak inne kobiety, szybko by się znudził.

Ale swoją obojętnością Portia Lanchester sprawiła, że tym bardziej jej pragnął.

I będzie ją miał.

Jednak teraz ucieknie się do innych środków. Aż do tamtej sceny przed hotelem oblegał ją z nieskończoną cierpliwością. Smakował każdą chwilę, wytrwale obalał jej tarcze obronne, jedną po drugiej, aż przyszłaby taka chwila, kiedy w końcu spełniłaby jego pragnienia, a i ona sama napiłaby się z niewysychającego źródła rozkoszy, do którego by ją przyprowadził.

Ale w chwili, gdy zwróciła się przeciw niemu, obrzuciła go pełnymi pogardy słowami, cierpliwość stała się niepotrzebnym zbytkiem. Już nie będzie traktował jej delikatnie, nie będzie miał względu na jej opór przed tym, by rozpałił w niej namiętność, która - był o tym absolutnie przekonany - płonęła gdzieś głęboko w niej. Teraz musi jedynie wyrzucić presję, na którą zareaguje, presję, która zmusi ją do zrobienia tego, co robi każda kobieta jej pokroju. Zmusi ją do obrony jej własności.

W ten sposób ją zdobędzie. Nie przeciw jej woli. Bo ona mu ulegnie, przyjmie umowę, którą jej proponuje, umowę, dzięki której zachowa swoją własność, rzecz najbardziej cenną dla tego rodzaju kobiet. I zgodzi się. Och - o wiele więcej niż tylko się zgodzi! - na rozkosz, jaką znajdzie przy nim. A ta rozkosz uciszy jego gniew.

- Twój brat siedzi po szyję w długach, a nie ma pieniędzy, by je spłacić - powiedział. - Więc wystawił Salton jako zabezpieczenie.

Te słowa padły z zabójczą mocą. Usłyszała je, ale nie przyjęła do wiadomości. Przez długą, przeciągającą się chwilę po prostu siedziała nieruchomo, jakby całą ją pokrył lód.

Do jej świadomości doszły jedynie trzy słowa: dług, Salton, zabezpieczenie.

- Nie... - wyszeptała ledwo słyszalnie. Ale Diego usłyszał. Gdy się odezwał, jego głos ciął bezlitośnie:

- Loring Lanchester może posłużyć za wzór, jak nie należy inwestować. Tonie szybciej niż kamień rzucony do wody. Twój brat nie ma żadnej szansy, by wypłynąć na czyste wody. Oddał Salton jako zabezpieczenie, bo nikt by już za niego nie poręczył. Ale nawet ta posiadłość nie wystarczy. Salton przepadnie, tak samo jak bank.

Popatrzyła na niego. W jego czarnych jak obsydian oczach nie znalazła żadnego uczucia. Mogły być oczami jakiegoś azteckiego posagu - obojętne, bez wyrazu.

Próbowała zebrać myśli. Zdała sobie sprawę, że wstała, ale nie zrobiła tego świadomie. I ciągle musiała patrzeć w te oczy, w te czarne, obojętne oczy.

Powiedział coś tak absurdalnego, tak niedorzecznego, że nie potrafiła znaleźć słów, by mu zaprzeczyć. W końcu zaczęła mu tłumaczyć jak dziecku.

- Panie Saez, pan przywykł do tego, że w Ameryce Południowej gospodarka jest wyjątkowo niestabilna. Banki upadają, a pieniądź potrafi przez noc całkowicie stracić wartość. Ale musi pan zdać sobie sprawę, że tutaj, w Anglii, sprawy mają się całkiem inaczej. Loring Lanchester ma za sobą półtora wieku

historii i jest bardzo ceniony w City. Taki bank nie może popaść w kłopoty. Jest jednym z najpewniejszych...

- Loring Lanchester zbankrutował - przerwał jej Diego brutalnie.

Te słowa ugodziły Portię jak nożem. Poczowała strach, podstępnie opanowujący ją strach. Odepchnęła go od siebie.

- Panie Saez, sądzę, że pan po prostu nie rozumie, jak prowadzi się interesy w moim kraju! - Lekko podniosła głos, jeszcze mocniej zacisnęła ręce na swetrze.

Jego twarz pozostała nieruchoma. Z jakiegoś powodu to wzmogło jej strach.

- Może i tak - zgodził się. - Ale jedno rozumiem: gdy bank udziela tylu pożyczek bez żadnego zabezpieczenia i gwarancji spłaty, kończy się to bankrutstwem. Loring Lanchester właśnie tak postępował. Pani brat podjął serię bardzo złych decyzji i teraz ma portfolio pożyczek, które nigdy nie zostaną spłacone. Pożyczał pieniądze banku na najbardziej ryzykowne inwestycje, o których z góry było wiadomo, że nigdy nie przyniosą zysku. Pożyczki szły do Europy Wschodniej, Afryki, republik bananowych, których nazwy nikt nawet nigdy nie słyszał! Nigdy nie odzyska tych pieniędzy. A nie ma żadnych dochodów, by chociażby móc zacząć pokrywać straty! Lepsze banki upadały przez ostatnie dwa lata recesji. Pani brat biegał po całym City w poszukiwaniu gotówki, ale nikt by nie zaryzykował dla niego swoich pieniędzy. Nikt! Straci wszystko, łącznie z Salton.

Kręciło jej się w głowie, jakby porwał ją huragan.

- Salton to prywatna własność Toma! Nie wchodzi w skład majątku banku!

Spojrzał na nią szyderczo.

- Nie słuchała mnie pani, prawda? On już wystawił Salton jako zabezpieczenie długów. I Salton przypadnie razem z całą resztą. Dom i posiadłość to jego jedyne solidne aktywa!

Pokręciła głową. W jej umyśle zaległa mgła. Diego Saez kłamie. To nie może być prawda!

Musi odejść. Znaleźć Toma. Niech jej powie, że to wszystko nieprawda. Że ten okropny człowiek po prostu opowiada jej kłamstwa, podłe, wstrętne kłamstwa.

Zaczęła iść w kierunku domu. Diego chwycił ją za ramię.

- Portio, już ci mówiłem. Ucieczka nic ci nie da.

Był za blisko. Owiał ją jego zapach, zrobiło jej się niedobrze. Spróbowała się uwolnić, ale nie miała siły.

- Ucieczka nic ci nie da - powtórzył.

Czuła jego oddech na karku. Chwycił ją za drugie ramię. Była uwięziona, ale uchylała się, jak mogła.

- I nie ma powodu do paniki. Twój brat znalazł szlachetnego rycerza. Bank jest bezpieczny. - Zamilkł na chwilę. - Salton jest bezpieczne.

Powinna odczuć ulgę, ale tak się nie stało. Znowu porwał ją huragan.

- Jak to... kto? - zdołała wyjąkać.

Ale знаła odpowiedź, zanim się odezwał.

Wyczytała ją w jego uśmiechu.

Odwrocił ją tak, by móc na nią patrzeć.

- Portio, jak ci się wydaje? Dlaczego tu jestem? Dlaczego twój brat mnie tu zaprosił? - Spojrzał na nią, rozkoszując się tą chwilą. - On myśli, że go uratuję.

Czas się zatrzymał, świat znieruchomiał. Chyba nawet jej serce przestało bić.

- A zrobisz to? - wyszeptała.

Właściwie po co pytała? Przecież wiedziała, dobry Boże, wiedziała, co on odpowie. Bo po co innego Diego Saez by tu przyjechał i mówił jej, że jej świat właśnie legł w gruzach?

- Oczywiście - powiedział. - Rzuciłem mu linę ratunkową. Spłacę długi i nawet pozwolę twojemu bratu pozostać na stanowisku. Nie byłoby dobrze dla banku, gdyby teraz zarząd się zmienił. Ale Martin Loring musi odejść. Twój brat już dawno powinien był się go pozbyć. Może wtedy miałby jeszcze jakąś szansę. Powinien był zatrudnić radę dyrektorów, ludzi, którzy znają się na interesach. Którzy mogliby za dobrą cenę sprzedać wasz bank jakiemuś wielkiemu bankowi. Ale twój brat pozwolił, by Martin Loring postępował tak, jakby w Anglii ciągle jeszcze panowała królowa Wiktoria i mogła rozkazać kanonierkom, by chroniły brytyjską własność w najodleglejszych nawet zakątkach świata!

- Chciał, żeby wujek Martin odszedł na emeryturę.

- Powinien był go kopnąć w ten jego bezużyteczny tyłek! W interesach nie ma miejsca na sentymenty.

- Tak więc ty poręczyłeś za Toma?

To było następne niepotrzebne pytanie.

Wiedziała, jaka jest odpowiedź. Przesunęła wzrok po małym ukrytym ogrodzie, cisowym żywopłocie, dróźce okrążającej jezioro, szmaragdowych trawnikach rozciągających się wokół klejnotu, jakim był dwór Salton. Jej domu. Domu Toma. Byłby również domem Felicity, i ich dzieci, i dzieci ich dzieci...

Ale teraz stanie się własnością tego mężczyzny, który ją spętał i trzymał bezbronną. Mężczyzny, który zobaczył Salton na obrazie Gainsborougha i go zapragnął. Który spytał, czy Salton jest na sprzedaż... Serce roztrzaskiwało jej się na drobne kawałki.

- Chcesz mieć Salton - szepnęła głucho.

Patrzyła na drzewa, trawniki usiane pączkami kwiatów.

Nie czuła nic. Absolutnie nic.

Potem, powoli, jakby wynurzając się z tej obojętności, w końcu coś poczuła. Jego ręka przesunęła się po jej ramieniu.

- Nie - zaprzeczył.

Spojrzała mu w oczy i zrozumiała. Z zabójczą pewnością wiedziała, czego Diego Saez chce naprawdę. Czemu przyjechał do Salton, czemu poinformował ją, że jej świat został zniszczony.

W głębi tych czarnych, obsydianowych oczu wyczytała, jakiej ceny żąda za uratowanie ich.

Jego ręka, twarda, gorąca, ciężka, zaborcza, znów przesunęła się po jej ramieniu.

- Chcę ciebie, Portio - powiedział.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rozmowa z Tomem była bolesna. Portia musiała czekać całą godzinę. Diego zostawił ją w małym, ukrytym ogrodzie, w którym jej świat się skończył, i zamknął się z Tomem w bibliotece. Potem zajechał po niego samochód, wielki, potężny, kosztowny, i Diego Saez odjechał.

Gdy weszła do biblioteki, uderzyło ją, jak jakiś podły żart, że Tom nie wygląda już na chorego.

Chory? On wcale nie był chory na grypę. Był chory ze zmartwienia, ze strachu! A ona okazała się taka ślepa! Taka całkowicie ślepa.

Ogarnęło ją poczucie winy. Jej brat coraz bardziej pograżał się w rozpacz, a ona tego nawet nie zauważyła.

Ale teraz, widząc jego twarz uwolnioną od wyrazu udreki, zmartwiała. Bo mógł być tylko jeden powód, dla którego Tom nie wygląda już tak, jakby był jedną nogą w grobie.

Więc Diego Saez rzucił mu linę ratunkową.

Zauważywszy ją, Tom zawołał:

- Portia! Wchodź i posłuchaj! Muszę ci o czymś powiedzieć.

Słuchała, rozpaczliwie starając się zdusić własne uczucia. Tak bardzo się oskarżał, wyrzucał sobie, że

dopuścił do takiej sytuacji, uniewinniał wszystkich prócz siebie, aż wreszcie nie mogła tego znieść.

A jeszcze trudniej było jej słuchać, jak wychwała Diega Saeza.

- Nawet gdyby przybył na białym rumaku, nie mógłbym być bardziej szczęśliwy! - wykrzyknął.

- Daje mi czas na odetchnięcie, którego tak potrzebowałem. Och, weźmie większość akcji, nie mógłbym oczekiwać czegoś innego, ale najważniejsze jest to, że bank nadal będzie działał. Użyje swoich ogromnych środków finansowych, by doprowadzić go do porządku. A potem sprzeda go jakiemuś amerykańskiemu gigantowi. Powiedział, że z osiągnięciem zysków poczeka aż do tej chwili.

Tom lekko zmarszczył czoło.

- Wujek Martin będzie musiał odejść. Tylko trudno jest powiedzieć staremu człowiekowi, który uczył mnie grać w kręgle, że już nie jest potrzebny. Zawsze wiedziałem, że on żyje przeszłością, ale myślałem, że jakoś dam sobie z tym radę. Jednak nie dałem. I przez to niemal dopuściłem do ruiny.

- Tom, a co z tobą? Co teraz będziesz robił?

Uśmiechnął się niepewnie, ale przynajmniej nareszcie się uśmiechał.

- Saez chce, żebyśmy jeszcze na trochę został, chociaż poszuka dobrego dyrektora, który mi pomoże i będzie podejmował wszystkie decyzje. Można by powiedzieć, że to degradacja, ale, Portio, dla mnie to jest prawdziwe wybawienie! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ja nienawidzę tego banku! A teraz będę wolny. Zamieszkać tu, ożenię się z Felicity,

będę w końcu prawdziwym farmerem! Tego właśnie zawsze chciałem.

Był szczęśliwy jak człowiek zwolniony z więzienia.

- Wiem - odparła z równie drżącym uśmiechem.
- I fantastycznie, że w końcu ożenisz się z Felicity. Ona jest w tobie beznadziejnie zakochana.

- Ale do tej pory nie mogłem się jej oświadczyć. Jak mógłbym, skoro wiedziałem, że wisi nade mną katastrofa? Ale teraz, gdy Saez przejął bank i umowa jest podpisana, wypłynąłem na czyste wody.

Portia wstała i podeszła do okna. Widziała przed sobą trawniki i drogę. Drogę, którą będzie musiała pójść.

Nie miała wyboru.

Nie mogła dopuścić do tego, by Diego Saez zrezygnował z uratowania jej brata. Dał jej do zrozumienia jasno i wyraźnie, czego za to od niej chce. Cena była niewyobrażalnie wysoka.

Ale będzie musiała ją zapłacić.

Przesunęła wzrokiem po oświetlonych słońcem trawnikach. Dla brata zapłaci cenę, jakiej zażąda Diego Saez.

W gardle narastał jej okropny, histeryczny śmiech. Zdusiła go. Od teraz musi pohamować wszelkie emocje. Nie może sobie na nie pozwolić.

Bo cena, jaką zapłaci za ocalenie Salton, jest nawet wyższa od tego, co myśli Diego Saez.

Dla niego wzięcie kobiety do łóżka to zwykłe zaspokojenie apetytu, zaspokojenie chwilowej żądzy. A ona rzuciła mu wyzwanie, odmówiła mu,

wzgardziła nim. Tak więc znalazł sposób, żeby ją poniżyć.

I wiedział, że nie odmówi. Wiedział, że w końcu do niego przyjdzie i da mu to, czego chce. Swoje ciało.

Myśli, że złamie jej dumę, jej szacunek dla siebie, ale ona wie, że złamie coś o wiele większego, cenniejszego dla niej. Diego Saez złamie jej serce, podczas gdy dla niego będzie to jedynie krótki romans bez znaczenia.

- Proszę mnie połączyć z panem Saezem.,

- Oczywiście, proszę pani. Kogo mam zapowiedzieć?

- Portia Lanchester. - Głos jej nie drżał, nie pozwoliła sobie na to.

Przyjechała do Londynu po południu, wdzięczna, że Tom zamierzał zostać jakiś czas w Salton.

- Już łączę.

- Witaj, Portio - powiedział tylko.

Poczuła, jak zaciska jej się gardło.

- Jestem u siebie w mieszkaniu. Czy... czy możesz zjeść dziś ze mną kolację?

Sekundy mijały, a każda dłużyła się jak wieczność.

Potem znów usłyszała ten niski, męski głos.

- Wieczorem wyjeżdżam z Londynu. Ale jeżeli chcesz, mogłabyś przyjść teraz.

- Teraz? - wyjąkała.

- Tak.

Głos miał spokojny, ale wyczuwała jego zadowo-

lenie. Zadowolenie bogatego, zepsutego, potężnego mężczyzny, który właśnie uzyskał to, czego chciał.

Odłożyła słuchawkę. Było jej słabo. Czy naprawdę da radę przez to przejść? Oddać się Diegowi Saezowi? Pojechać do hotelu i... i iść z nim do łóżka? Bo tego właśnie chciał. Dziś wyjeżdża i chce ją mieć, zanim wyjedzie. W końcu czy to wiadomo, kiedy tak zapracowany finansista będzie znów miał okazję przyjechać do Londynu?

Przeszył ją dreszcz. Czy potem, po jego powrocie ma przez jakiś czas być jego kobietą w Londynie?

Przestań! - nakazała sobie. Po co tak się dręczyć? Czy już nie dość cierpi? Tom może stracić Salton, a Diego Saez jest jedynym człowiekiem, który rzucił mu linę ratunkową.

Ale postawił swoje warunki.

I dlatego będzie musiała zapomnieć o swoich zasadach, nawiązać krótki romans z mężczyzną, którego stosunek do kobiet, do spraw seksu, budził jej najwyższe obrzydzenie.

Nagle nasunęło jej się pewne słowo, brzydkie i wstrętne.

Czy ona się prostytuuje? Po to, by uratować dla brata Salton?

Nieważne, jak to nazwiemy, pomyślała z goryczą. Ważne jest to, że nie może, nie wolno jej dopuścić, by Tom stracił swoje dziedzictwo.

Nie ma wyboru.

Poszła do sypialni, by się przebrać i umalować dla Diega Saeza.

Diego stał przy oknie w swoim apartamencie. Patrzył na Londyn, ale jego myśli pomknęły do innego miasta.

I do innego czasu.

Smród. To pamiętał najlepiej z San Cristo. Smród biedy, poniżenia, rozpaczy. Upał w dzień i chłód w nocy, gdy sypiał, gdzie popadło, a żołądek szarpały mu skurcze głodu.

Odepchnął te wspomnienia i odwrócił się od okna. Nie pozwalał sobie pamiętać.

Jedyną rzeczą, na którą sobie pozwalał, było posyłanie pieniędzy ojcu Tomasowi, księdzu, który spędzał życie, zbierając z ulic bezdomne dzieci, a potem powoli zdobywał sobie ich zaufanie, aż przychodziły do jego schroniska. To był pierwszy promyk światła w ich nieznośnie ciemnym życiu.

Teraz, dzięki pieniądзом, które posyłał, schronisko mogło przyjmować o wiele więcej dzieci. Dostawały szansę, jaką i on dostał tyle lat temu, by stać się czymś więcej niż tylko ludzkim odpadkiem, takim samym, jakim był on, dopóki nie znalazł go ojciec Tomaso.

Odepchnął znów tamte wspomnienia i przywołał inne, o wiele świeższe. Oczami duszy zobaczył piękną jadalnię w Salton, dwieście pięćdziesiąt lat przyjemnego życia zastygłe w czasie. Jego twarz stwardniała. Jak ktoś urodzony w takich warunkach mógł się okazać tak lekkomyślny? Tom Lanchester jest głupcem. Wystarczyło raz spojrzeć w jego księgi rachunkowe, by się o tym przekonać. Ale on sam może się tylko z tego cieszyć. Dzięki idiotycznemu

postępowaniu Lanchesterów ma teraz w zasięgu ręki to, co chciał osiąść.

Nalał sobie whisky. Czuł, jak jego ciało rozluźnia się w oczekiwaniu na seksualne podniecenie. Ona tu będzie wkrótce.

Ale zaraz poczuł żal. Nie chciał zdobywać Portii w ten sposób. Chciał, by przyszła do niego z własnej woli, bo...

Bo wszystkie kobiety, których pożądał, same do niego przychodziły. Czy istniała chociaż jedna, która mu się oparła? Nie pamiętał żadnej. Wystarczyło pokazać, że jest zainteresowany, a już kobieta była jego. Ale zawdzięczał to nie tylko swojemu bogactwu. Nawet gdy był jeszcze biedny i dopiero torował sobie drogę ku bogactwu, kobiety też mu ulegały.

Nie uległa mu tylko Portia Lanchester.

To, że mu się opierała, stanowiło część jej czaru.

Jednak gdy jego zdaniem opierała mu się już za długo, oczarowanie zaczęło przechodzić w irytację. Uznał, że trzeba położyć temu kres. A wtedy - usta mu się zacisnęły w wąską kreskę - przed Claridge'em wyjaśniła mu powody swojego oporu.

Gardziła jego pochodzeniem.

Odrzuciła go, bo nie był wart jej wspaniałego rodowodu i przodków.

Nie był dla niej dość dobry.

I w tym momencie zmieniły się zasady gry.

Jasno przedstawiła mu, jakimi wartościami się kieruje. Jedyne, co naprawdę się dla niej liczyło, były pieniądze i pozycja. Zatem by je ochronić, będzie musiała zrobić to, czego on sobie życzy.

Czyli pójść z nim do łóżka.

Spojrzał na zegarek.

Wkrótce tu będzie i jego oczekiwanie dobiegnie końca.

Diego Saez mieszkał w luksusowym hotelu na Park Lane. Jak zawsze brał dla siebie jedynie to, co najlepsze. Zresztą nie było w tym nic dziwnego. Dla mężczyzny tak bogatego jak on, który mógł sobie kupić upadający bank tylko po to, by dostać kobietę, której pragnął, niebotyczna cena apartamentu nie miała żadnego znaczenia.

Portia podeszła do recepcji.

- Proszę mnie połączyć z apartamentem pana Saeza.

Głos jej nie drżał. Stała tu, na pozór spokojna, bardzo elegancka w jasnoniebieskiej koktajlowej sukience, odpowiedniej na tę wczesną popołudniową godzinę. Ale czuła się dziwnie. Zamrożona. Oddzielona od rzeczywistości. Jakby nic nie było prawdziwe.

Boy zaprowadził ją do apartamentu. Drzwi się otworzyły.

Weszła.

Diego Saez dał boyowi napiwek i zamknął drzwi. Zamknęły się cicho, z lekkim tylko stukotem.

Poczuła, jak zaczyna jej walić serce.

Diego Saez patrzył na tę kobietę, który przyszła do niego po to, by ofiarować mu swoje ciało w zamian za uratowanie rodzinnej fortuny. Spłynęła na niego fala

zadowolenia. Wyglądała dokładnie tak, jak chciał, by wyglądała. Nie ubrała się kusząco, seksownie. Jej sukienka o klasycznym kroju była ponadczasowa.

I uczesała się tak, jak lubił. Nisko upięty elegancki kok, włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały pięknie rzeźbione rysy i szeroko osadzone szare oczy. Umalowała się bardzo oszczędnie, to też mu się podobało. I chyba nie użyła perfum, pachniała jedynie mydłem i kremem do twarzy.

Wyglądała dokładnie na to, kim była. Na kobietę urodzoną w świecie posiadłości ziemskich i starych pieniędzy, uprzywilejowaną, chronioną.

Chronioną przed mężczyznami takimi jak on.

Przez chwilę poczuł żal, ale to zaraz minęło. Skupił się na fizycznych doznaniach, które powoli w nim narastały.

Jego ciało zaczynało reagować. Czekał na nią tak długo, o wiele dłużej niż na jakąkolwiek inną kobietę, ale teraz, w końcu, była jego.

Znów przez chwilę pożałował, że wszystko odbędzie się na takich warunkach.

Odepchnął tę myśl. Portia może i gardzi jego niskim pochodzeniem, ale jeżeli chce ocalić swój cenny rodzinny dom, musi przewyciężyć obrzydzenie.

Coś zapaliło się w jego oczach. Och, tak, nie tylko przewycięży obrzydzenie, lecz będzie się rozkoszować każdą chwilą spędzoną w jego łóżku.

Już on tego dopilnuje.

Było tak, jakby przestąpiła brzeg przepaści.

Bardzo dziwnie, bo nie opadała w dół. Tkwiła w jakiś sposób zawieszona w powietrzu, nieruchoma. Nic nie czuła. Nie było nic, co mogłaby czuć. A Diego Saez patrzył na nią. Patrzył tak jak zawsze, z pożądaniem.

Do tej pory uciekała przed tym spojrzeniem.

Ale teraz, gdy już tu była, bo ucieczka na nic się nie zdała, miała wrażenie, że kładzie się na niej ostatnia warstwa lodu.

Wiedziała, że zadziałał instykt samozachowawczy. Czuła się tak, jakby była duchem czy nieruchomym posągiem. Jakby krew w jej żyłach przestała płynąć.

Tak więc stała nieruchomo i pozwalała, by na nią patrzył.

Gdy wreszcie się odezwał, lekko uniosła głowę, by na niego spojrzeć.

I wtedy przeniknęło ją jakieś uczucie. Nie potrafiła go nazwać, jedynie czuła.

Było potężne, wszechogarniające. Przeszywało ją, przenikało przez ten stan obojętności, który jeszcze przed chwilą otaczał ją ochronną warstwą.

Napotkała jego spojrzenie. Z Diega emanowało coś niemal dotykającego, płynęło ku niej, zalewało ją.

I posiadało ją, posiadało ją całą.

- Powiedz mi więc, Portio, czego pragniesz.

Jego głos był niski, głęboki, wibrował w niej.

Czego pragnie? Samo to słowo było już szyderstwem.

Oderwała spojrzenie od jego oczu, które trzymały ją na uwięzi, jak w polu magnetycznym. Uwolniła się

od tego ssącego, przesywającego uczucia, którego doznała, gdy doświadczyła dotyku tych oczu.

Wzięła głęboki oddech. Wydawało jej się, że powietrze w jej płucach jest zimne.

- Chcę, żeby Salton było bezpieczne.

- I nic więcej?

Nie mogła mu odpowiedzieć.

Odwróciła głowę i podeszła do stolika, na którym stał wazon z kwiatami. Wydawała się taka spokojna, ale wewnątrz niej nie było spokoju.

Za kwiatami na ścianie wisiało lustro. Zobaczyła w nim, jak Diego podchodzi.

Stanął za nią. Nie uniosła wzroku znad kwiatów. Ale gdy poczuła jego rękę na swoim karku, zastygła.

Kwiaty zniknęły.

Cały świat zniknął.

Istniało teraz tylko jedno.

Dotyk jego ręki na jej karku.

Rękę miał ciepłą, czuła, jak czubkami palców przesuwają powoli, badawczo. Jak taki delikatny, powolny ruch może spowodować tak silne odczucia?

Bo coś się w niej roztopiało, fala za falą, schodziło w dół po kręgosłupie i podchodziło w górę, między ramiona, na kark, do gardła.

Nie wiedziała nawet, czy jeszcze oddycha. Wiedziała tylko, że pod jego dotykiem cały jej świat się zapada.

Czubki palców sięgnęły dalej, ku szyi. Kciuk odnalazł zagłębienie za uchem i głąskał łagodnie, tak łagodnie, że bała się, iż zemdleje i upadnie, bo całe jej

jestestwo skupiło się na tym jednym punkcie istnienia.

Potem palec przesunął się na muszlę ucha, na bok szyi. Trwało to całą wieczność, a ona stała bezbronna, nieruchoma, podczas gdy Diego Saez dotykał jej i głaskał. Nie miała już woli, siły, nie było w niej oporu.

Powinna natychmiast uciec. Bo jeżeli nie ucieknie, stanie się coś strasznego, coś, co będzie ją kosztowało więcej, niż może zapłacić.

Ale zaraz odezwał się rozsądek.

Nie możesz uciec, mówił jej. Jeżeli teraz uciekniesz, Salton przypadnie, twoja rodzina zostanie zniszczona. Będziesz musiała żyć z tym na sumieniu.

Co ona znaczy w porównaniu z Salton? Jakakolwiek będzie cena, zapłaci ją, i Salton zostanie uratowane dla Toma, dla jego dzieci, dla jego wnuków.

Nie może uciec. Nic nie może zrobić, nic prócz pozostania tutaj, w klatce, którą zbudował dla niej ten mężczyzna, który pragnie jej ciała, mężczyzna, który już wypala na niej swoje piętno, mężczyzna dotykający jej nagiej skóry.

Tak więc bez słowa, ale całkowicie z własnej woli, nie stawiała oporu, gdy odwrócił ją do siebie. I nie stawiała oporu, gdy poprowadził ją do sypialni.

Weszła do pokoju i stanęła. Serce waliło jej głośno, nierówno.

Diego zamknął drzwi i podszedł do niej.

Dotknął jej włosów, a potem zaczął wyjmować szpilki z koka, jedną po drugiej, rzucając je na podłogę. Włosy opadły luźno na plecy.

Coś się z nią działo. To było takie samo uczucie jak przedtem, ale jeszcze bardziej intensywne. Fale, które ją zatapiały, były coraz wyższe.

Diego zaczął coś mówić niskim, ochrypłym głosem, nie rozumiała słów. Czowała jego oddech na twarzy.

Potem rozpiął suwak sukienki. Rozsunął materiał i położył jej na plecach rozpostarte dłonie. Paliły ją jak ogień.

Fale rosły, były coraz szybsze.

Palce wsunęły się pod haftki stanika. Rozpiął je, a potem wziął ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

Uniosła ku niemu wzrok.

W jego oczach lśniły czarne iskry, które ją przesywały, głęboko, do samego dna jej istoty.

A potem powoli, bardzo powoli, pochylił głowę i dotknął ustami jej warg.

Przez krótką chwilę jeszcze się opierała, ale zaraz zaczęła oddawać mu pocałunek.

Zatriumfował. Nie mogła pozostać obojętna! O, nie. Będzie drżała w jego ramionach, przywierała do niego, aż do bólu będzie pragnęła, by ją posiadał.

Portia czuła, że idzie na dno. Zatapia się w uczuciach. Fale, które ją zalewały, nagle przemieniły się w wir, wciągając ją w dół.

Jeszcze nigdy nikt tak jej nie całował. I nigdy tak nie oddawała pocałunków. Nie istniało nic prócz dotyku jego ust, jego języka.

I nagle, gdy czas się zatrzymał, jego usta uwolniły jej wargi.

Poczuła się pusta, pozbawiona czegoś bardzo cennego.

Ale nawet to poczucie pustki zniknęło, gdy zaczął ją dalej rozbierać.

W pewnej chwili, zszokowana, zdała sobie sprawę, że jej piersi nabierają ciężaru, brodawki twardnieją.

Powoli, zmysłowymi ruchami, zsunął sukienkę z jej ramion. Dotyk jego rąk na jej gołej skórze wzniecił nowe, intensywne doznania. Chciała je odepchnąć, ale przekraczało to jej możliwości. Wszystko przekraczało jej możliwości. Mogła jedynie rozkoszować się tym cudownym, magicznym uczuciem, które płynęło przez jej żyły.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Niskie pulsowanie silników odrzutowca wibrowało w każdej komórce ciała Portii. Poruszyła się w fotelu. Nie pomogło. Miała wrażenie, że całe jej ciało pulsuje.

Ale nie od wibracji potężnej maszyny.

Zacisnęła mocniej powieki, próbując oczyścić pamięć, tak jak usunęła sprzed oczu wszelkie widoki.

Ale nie mogła.

Jej ciało pamiętało. Każdy centymetr skóry pamiętał. Każde, nawet najbardziej intymne miejsce ciała pamiętało.

A już zwłaszcza ono.

Pulsowanie między udami przypominało jej o szaleństwie, które popełniła.

Jak mogłam? Jak mogłam zareagować na niego w ten sposób?

Szydercze pytanie! Dokładnie wiedziała, jak - i dlaczego - tak zareagowała. Bo została uniesiona na jakieś wyżyny, o których nawet do tej pory nie wiedziała, że istnieją, w cudowne, ekstatyczne miejsce, miejsce czaru i tajemnic, a stanowiło to dla niej takie objawienie, że przemieniło ją całą.

A tym, kto ją tam zabrał, był Diego Saez.

Położył ją na łóżku, zdjął z niej resztę ubrania

i sam też się rozebrał. Oślepił ją cud jego silnego, szczupłego ciała, wyłaniającego się z ciemnego garnituru.

Geoffrey też był szczupły, ale ciało miał niemal chłopięce. W Diegu Saezie nie było nic chłopięcego. Szerokie ramiona, potężna klatka piersiowa, gładkie mięśnie. Pragnęła położyć na nim ręce, poczuć jego siłę, jego moc. Wyciągnęła ramiona i czubkami palców, niemal ze strachem, z zachwytem przesunęła po jego barkach.

Opadł na nią, tak ciężki, że sapnęła, a potem to sapnięcie przemieniło się w jęk rozkoszy, gdy zaczął ją całować.

Od tej chwili była stracona. Uniósł ją przyptływ tak potężny, że mogła jedynie zanurzyć się w tym wirze doznań.

To było jak objawienie, jak cud. Do tej pory nawet nie wiedziała, że może się tak czuć, odczuwać taki głód, taką rozkosz. Jej ciało już nie należało do niej. Stało się własnością Diega, mężczyzny, który ją posiadał i spopielił w ogniu namiętności.

I gdy ją posiadał, wykrzyczała jego imię, bezbronna wobec tej ekstazy, i znów je powtórzyła, okręcając się cała wokół niego, bo nigdy, przenigdy nie da mu odejść...

Czas przestał istnieć. Wreszcie, gdy ekstaza minęła, słaba, dysząca, spojrzała na niego.

A on patrzył na nią, w jego spojrzeniu malował się szok.

Wyciągnęła drżące ręce, by objąć nimi jego twarz.

- Diego...

Jej głos był szeptem, pieszczotą.

Jeszcze przez chwilę się nie poruszył, a potem nagle, jak wystrzelona kula, odepchnął się od niej i wyskoczył z łóżka.

Poszedł do łazienki, widziała grę mięśni na jego silnych, jakby rzeźbionych plecach, jeszcze przez sekundę znów poczuła ten cud, który ją spopielił. Już przy drzwiach Diego się odwrócił.

- Skorzystaj z drugiej łazienki. Bądź gotowa za kwadrans. Postaraj się, żeby nie musiał czekać.

I zamknął za sobą drzwi.

W tym jednym, ohydny, wstrętnym momencie uświadomiła sobie z całą jasnością, dlaczego zawsze uciekała przed Diegiem Saezem.

Wstyd palił ją jak ogień. Gorący, rozpaczliwy wstyd, że jak ślepa pozwoliła sobie na takie szaleństwo.

Teraz, gdy siedziała sztywno i nieruchomo w fotelu kabiny pierwszej klasy w samolocie, nadal odczuwała ten wstyd.

Jak mogła tak zareagować?

Dla niej to przeżycie było cudowne, magiczne. Rewelacja tak wspaniała, że całą ją pochłonęła.

Dla Diega Saeza to był zaledwie szybki numer z kobietą, którą szantażem wciągnął do swojego łóżka.

A gdy się skończyło, przestał zwracać na nią uwagę.

Aż do następnego razu, gdy zapragnie seksu.

Gardło jej się zacisnęło, nienawidziła się.

Rozpaczliwie sięgnęła po jedyną broję, jaka jej

została, by ochronić resztki godności. I gdy już ubrana i uczesana zeszła do foyer hotelu, tylko rumieńce i obrzmiałe usta świadczyły o tym, co robiła jeszcze przed chwilą.

Diego Saez stał przy ladzie recepcji, w nieskazitelnym ciemnym garniturze, był świeżo ogolony, białe mankiety koszuli lśniły na tle jego opalonej skóry.

Coś ją przeniknęło, gdy patrzyła na jego wysoką, szczupłą postać.

Zdusiła to.

Nie było na to miejsca między nimi dwojgiem.

Diego odwrócił się.

Twarz miał bez wyrazu, tak samo jak tego dnia, gdy wszedł do holu w Salton.

- Po drodze wstąpimy do ciebie, żebyś mogła zabrać rzeczy do spania i paszport. I pospiesz się. Samolot nie będzie czekał.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- Samolot? Nie... nie rozumiem.

- Lecisz ze mną do Singapuru.

- Do Singapuru? Ale ja...

Podszedł do drzwi, otworzył je i niecierpliwie na nią czekał.

- Przecież pracuję. Nie mogę wyjechać.

- Bierzesz wolne, kiedy tylko chcesz - odrzucił jej argument. - I wyjeżdżasz: Genewa, Yorkshire, Ameryka.

- Ale to są podróże służbowe!

- A gdy pojechałaś do Salton?

- Mam zaległy urlop.

Patrzył na nią obojętnie.

- No to weź jeszcze kilka dni.

- Ale...

Uniósł rękę.

- Portio, daruj sobie te dyskusje. Jestem zajęтым człowiekiem. Mam w życiu ważniejsze rzeczy do zrobienia niż tylko poręczać za trzeciorzędny bank w zamian za usługi seksualne.

Pobladła, oddech zastygł jej w gardle.

Przez sekundę, tak krótką, że ledwo to zauważyła, w jego oczach pojawiło się jakieś uczucie. Potem zniknęło.

- Lecę zaraz do Singapuru. A ty - jak chcesz. Twój wybór.

Bez słowa poszła za nim.

Wybór? Co za kpina! Nie miała wyboru. Gdyby teraz odeszła, teraz, gdy powiedział, że chce, by leciała z nim do Singapuru, żeby mieć ją przy sobie, gdy zapragnie seksu, czy nadal chciałby poręczyć za bank, czy też Tom straciłby Salton i wszystko, co stanowi sens jego życia?

Ledwo miała czas, by wziąć paszport, spakować małą walizeczkę z najpotrzebniejszymi rzeczami i zostawić w poczcie głosowej Hugh'a i Toma wiadomość o swoim wyjeździe. Nie wyjaśniła, gdzie jedzie. To nie była sprawa Hugh'a, a jeśli chodzi o Toma... co mogła mu powiedzieć?

W głowie dźwięczały jej brutalne słowa Diega Saeza: „Mam w życiu ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż tylko poręczać za trzeciorzędny bank w zamian za usługi seksualne”.

Przeniknęło ją lodowate zimno.

A gdy Diego Saez nasyci się tobą, odejdzie, przemknęło jej przez głowę.

Uciekła od tej myśli. Nie będzie o tym myślała. Nie będzie nic czuła. Od tej chwili jej jedynym zbawieniem jest ta krucha zbroja, którą się osłoniła.

Miała ją na sobie teraz, gdy siedziała obok niego, oddzielona tylko małym składanym stolikiem. Diego pracował. Przeglądał dokumenty, od czasu do czasu coś notował złotym wiecznym piórem. Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, zaprzątnięty tym, co robił. Odzywał się tylko w razie konieczności, szorstko, lakonicznie. A ona robiła, co jej kazał, posłusznie, w milczeniu.

W końcu popadła w otępienie. Pulsowanie silników współgrało z pulsowaniem w jej ciele. Popatrzyła przez okno. Nie było gwiazd ani księżyca. Tylko ciemność.

Wokół niej i w niej.

Późnym popołudniem następnego dnia samolot wylądował na lotnisku Changi w Singapurze. Gdy limuzyna wiozła ich do luksusowego hotelu na Orchard Road, zapadała już tropikalna noc. Powietrze było gorące i nieruchome, ale gdy weszli do foyer, zimny powiew klimatyzacji przyprawił Portię o chłodny dreszcz. A może przyczyna była inna?

Diego szedł szybko, trudno jej było dotrzymać mu kroku. Po długim locie miała spuchnięte nogi, pantofle ją cisnęły, marzyła o prysznicu.

Czuła się oszołomiona, dezorientowana. Jej we-

wewnętrzny zegar całkowicie się przestawił. Ale nawet bez zmiany czasu czułaby się tak samo.

Weszli do apartamentu, jeszcze bardziej luksusowego niż w londyńskim hotelu. Bezwiednie skierowała się do okna. Boy, który już na nich czekał, uklonił się i spytał, czy chce wyjść na taras. Pokręciła głową.

Czekała na rozkazy.

A w środku czuła gorzkie mdłości.

Diego zwolnił służbę i zwrócił się do Portii.

Była blada jak duch.

- Połóż się, zanim zemdlejesz - rozkazał ostrzejszym tonem, niż zamierzał. - Zajmij drugi pokój.

Zauważył, że zeszywniała, i to go zirytowało. Gdy przechodziła obok niego, chwycił ją za ramię. Natychmiast zastygła.

- Portio, nie zaczynaj, jeżeli nie będziesz umiała skończyć - powiedział cicho, i puścił ją.

Patrzył za nią, jak wchodzi do pokoju, a potem nagle odwrócił się i poszedł na taras.

Duchota, upał, pot, który natychmiast wystąpił mu na całym ciele, przywiodły mu na myśl inne miejsce. Ale na szczęście tutaj, w tym czystym mieście położonym na równiku, nie czuć było wszechobecnego tam fetoru gnijących odpadków, w których grzebali biedacy, szukając czegokolwiek, co pomoże im przeżyć.

Zacisnął ręce tak, że aż pobieleły mu kostki.

Czemu, u diabła, myśli o slumsach San Cristo? Przecież nigdy nie pozwalał sobie na takie wspomnienia. Nigdy.

Ale w tych dniach wspomnienia same cisnęły mu się do głowy.

I wiedział dlaczego.

To przez Portię Lanchester, Portię, z jej białą skórą, delikatnymi kośćmi i wielkimi, szarymi, zimnymi oczami.

To ona otwierała tę bramę do przeszłości, o której myślał, że już na zawsze jest zaryglowana.

Portia.

O niej też nie chciał myśleć.

Co, u licha, poszło źle?

Portia Lanchester sądziła, że może ofiarować swoje blade, miękkie ciało, a potem wyjść z jego łóżka nietknięta.

Pokazał jej, że to nieprawda. *PorDios*, ależ on jej pokazał!

Chciał, by mu całkowicie uległa, i dostał, co chciał. Leżała pod nim, włosy miała rozpuszczone i splecione, oczy rozszerzone, wydawała te ciche jęki, wyginała się pod nim w łuk.

Na samo wspomnienie natychmiast stężał.

A gdy doszła...

Cristo! Zupełnie jakby to był jej pierwszy raz!

Na jej twarzy odbił się absolutny szok. Przez jedną krótką sekundę patrzyła na niego zdumiona, a potem cała zatrzęsała się w orgazmie. Krzyczała w ekstazie, i w tym momencie, w tym ułamku sekundy, wszystko poszło źle, bardzo źle.

Jego własne ciało złączyło się z nią w tej samej rozkoszy.

Jak to się mogło stać?

Całkowicie, kompletnie stracił kontrolę nad sobą. W żaden sposób nie mógł powstrzymać tego nagłego doznania. Tej przepełniającej go potrzeby, by ją wypełnić.

Stać się jednością z nią.

Odepchnął się od balustrady i wszedł do pokoju.

Powinienem był zostawić ją w Londynie, pomyślał.

Na jego ustach zaigrał kpiący uśmiezek.

Wiedział, po co ją tu przywiózł. Portia Lanchester sprzedała mu się, a on nadal chciał korzystać z towaru, który miała na sprzedaż.

Ale gdy będzie ją brał następnym razem, zachowa nad sobą pełną, całkowitą kontrolę.

Gdy obudziła się następnego rana, słońce stało już wysoko. Przez dobre pół godziny po prostu leżała, bojąc się wstać, bo Diego Saez mógł jeszcze być w apartamencie. Ale w końcu uświadomiła obie, że nie może do końca życia ukrywać się w swoim pokoju.

Ubranie się nie stanowiło problemu. Z domu zabrała tylko jedną letnią sukienkę i jedną zmianę bielizny.

Z duszą na ramieniu weszła do salonu.

Był pusty.

Chwyła torebkę i wyszła.

Na dole zobaczyła bar kawowy. Wstąpiła do niego, zamówiła kawę i ciastko. Nie była głodna.

Znow ogarnęło ją uczucie absolutnej obojętności. Nie czuła nic.

Postanowiła utrzymać ten nastrój. Wiedziała, że tylko w ten sposób przeżyje to, co się z nią dzieje.

Utrzymując wokół siebie tę kruchą zbroję. Uznając, że nic nie może zrobić. Że nie ma wyboru. Była tu, by uratować Salton, nie siebie.

A po to, by uratować Salton, musi stać się tym, czego chce Diego Saez.

Ciałem w jego łóżku.

Ale gdy będzie w jego łóżku, musi nadal otaczać się tą kruchą zbroją; zbroją, która utrzymywała resztę świata z dala od niej, a ją utrzymywała w kokonie nieczułości.

To był jedyny sposób, by przetrwać.

Zapłaciła za śniadanie i weszła do foyer. Przez okna wlewały się gorące promienie słońca. Zastanawiała się, czym mogłaby się teraz zająć. Przypuszczała, że Diego życzyłby sobie, by została w hotelu.

Ale co ma tu robić?

W takim luksusowym hotelu musi być basen, pomyślała. Podeszła do recepcji i spytała. Uśmiechnięty recepcjonista wskazał jej też pasaż z butikami. Korzystając z karty kredytowej, kupiła kostium plażowy i, do kompletu, przezroczysty sarong w złote i turkusowe wzory, takie jak na kostiumie. Nie był to jej ulubiony styl, ale nie znalazła nic lepszego.

Nawet mimo parasola Portia czuła na plecach żar słońca. Będzie musiała się ochłodzić w basenie, jednak teraz była zbyt zmęczona, by się poruszyć. Chociaż spała do późna, i tak była wykończona.

To pewnie przez ten upał...

Otępiła i zdezorientowana, z trudem wydobyła się z leżaka.

Poczuła, jak zimna woda zamyka się nad nią niczym błogosławieństwo. Potem wynurzyła się i położyła na wodzie.

Zamknęła oczy, pozwoliła, by słońce paliło jej twarz.

Co ja tu robię?

To, czego chce Diego Saez, odpowiedziała sobie.

Wyszła z basenu, wytarła się. Było jej za gorąco. Trzeba wrócić do klimatyzowanego apartamentu. Owinęła się sarongiem i poszła.

Na progu apartamentu stanęła w pół kroku. Diego Saez wrócił.

Wygodnie rozparty na kanapie, oglądał w telewizji notowania giełdowe.

Spojrzał na nią.

Twarz miał nieodgadniona.

Ale coś zabłyśło głęboko w jego oczach, gdy przesuwał spojrzenie po jej niemal nagim ciele, jedynie w przezroczystym sarongu narzuconym na mokry kostium.

Stała w progu, niezdolna do wypowiedzenia choćby jednego słowa.

Sądziła, błędnie, że Diego zostanie przez cały dzień w mieście, konferując z bankierami i innymi ludźmi interesu.

- Dobrze spałaś? - spytał obojętnie.

Leciutko skinęła głową.

Nagle wydało jej się, że serce nie mieści się jej w piersi, rozpiera się, ogromnieje. Chociaż w pokoju było ciepło, jej zrobiło się zimno.

- Odpoczęłaś?

Tym razem nawet nie skinęła głową, bo oddech zamarł jej w gardle.

Poczuła, jak zaczyna ogarniać ją panika.

Diego wstał.

Portia nie poruszyła się, stała jak zamurowana.

Podszedł do niej.

Serce jej waliło. Jak osaczonemu jeleniowi, walczącemu o życie.

Wyciągnął do niej rękę. Zesztywniała, powietrze w płucach stężało. Diego dotknął sarongu.

- Bardzo ładny. Wychodziłaś po zakupy?

Pokręciła głową. Jego ręka opadła.

- Więc idź po południu. Potrzebujesz ubrań, a zwłaszcza wieczorowych sukni. Dziś idziemy na przyjęcie. Kup sobie coś odpowiedniego. Znasz Singapur?

Znów pokręciła głową.

- Więc po prostu wymień recepcjoniście swoich ulubionych projektantów, a samochód cię zawiezie do ich sklepów. Chcesz, żeby ktoś z personelu z tobą pojechał?

Tym razem zdobyła się na odpowiedź.

- Nie, dziękuję.

- Przywiozłaś jakąś biżuterię?

Przez chwilę wydawało jej się, że z niej kpi, ale on mówił dalej:

- Więc postaraj się, żeby sukienka pasowała do brylantów.

- Nie będziesz mi kupował biżuterii! - wybuchnęła.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Dlaczego nie? Przecież już kupiłem ciebie. I wasz rodzinny bank. I siedzibę rodową. Sprzedałaś mi się, nie pamiętasz? Co wobec tego wszystkiego znaczy jakiś klejnocik? A skoro już o tym mowa...

Wyciągnął rękę i rozwiązał węzeł sarongu. Materiał opadł na podłogę.

W jego ciemnych oczach zapaliły się ognie. Poczowała się tak, jakby była naga. Mokry kostium podkreślał każde zaokrąglenie jej ciała, przywierał do piersi, brzucha.

- Co za Szkoda - powiedział cicho - że niedługo muszę iść na spotkanie z ministrem.

Z powrotem usiadł na kanapie, przed ekranem z notowaniami giełdowymi. Ale jeszcze raz na nią spojrzął.

- Kup na dzisiejszy wieczór coś interesującego. Wybiegła z salonu i schroniła się w swoim pokoju.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Samochód jechał długim, krętym podjazdem. Po obu stronach pochodnie oświetlały drogę prowadzącą do ogromnego domu, położonego wśród wypielegnowanych trawników na ekskluzywnej Tanglin Road. W środku, przez hektary okiennych szyb, widać było tłumy już przybyłych gości.

Wysiadając z klimatyzowanej limuzyny, Portia poczuła, jak uderza w nią tropikalny żar. Pod jej butami na wysokich obcasach skrzypiał żwir ścieżki, lekko uniosła rąbek długiej spódnicy. Obok niej siedł Diego Saez, bardzo elegancki w smokingu.

Przez cały czas przyjęcia miała wrażenie, że chodzi we mgle. Zapewne przedstawiono ją co najmniej stu osobom, ale nikogo nie zapamiętała. Zresztą nikt nie zwracał na nią uwagi. Ludzie chcieli rozmawiać z Diegiem Saezem. Była za to głęboko wdzięczna losowi.

Rutyna pozwoliła jej odpowiednio się zachowywać. Uprzejmie gawędziła, chwaliła osiągnięcia Singapuru, trochę rozmawiała na temat opery i sztuki, małymi łyčzkami popijała szampana. Ale z każdą sekundą napięcie wewnątrz niej narastało. Cały czas była świadoma obecności tego mrocznego mężczyzny obok siebie.

I bała się chwili, gdy zabierze ją z powrotem do hotelu.

Nie, nie myśl o tym, powtarzała sobie. Nie myśl o niczym.

Diego słuchał obojętnie wywodów prezesa jednego z singapurskich towarzystw okrętowych. Zresztą z taką samą obojętnością słuchał też wszystkich innych, którzy chcieli z nim porozmawiać.

Interesowało go tylko jedno: chciał zabrać Portię Lanchester z powrotem do hotelu.

Miała na sobie długą ciemnoniebieską suknię o klasycznym kroju. Czy zrobiła to celowo? - zastanawiał się. Czy celowo wybrała ten sam kolor, w którym widział ją po raz pierwszy? Uczesała się też tak samo: splotła włosy we francuski warkocz, co odślaniało jej twarz i linię szyi. Suknia była bez rękawów, i teraz przy każdym ruchu jego własne rękawy ocierały się o jej nagą rękę.

Czuł jej napięcie za każdym razem, gdy tak się działo.

Spojrzał na nią. Twarz miała nieruchomą, usta zaciśnięte, skórę bladą jak popiół.

Wokół szyi lśnił brylantowy naszyjnik, który dla niej wypożyczył. Przyjęła go obojętnie, bez żadnego komentarza. Tylko nagłe stężenie jej ciała, gdy zapinał naszyjnik, wyjawiało mu, jakie uczucia w niej budzi.

Znów poczuł złość. Dlaczego, do diabła, Portia Lanchester reaguje na niego z taką odrazą? Przecież z własnej woli mu się sprzedała. A on zapłacił i teraz zamierza dostać wszystko, co mu się należy.

A to oznacza także chętną kobietę w jego łóżku.

Poruszył się niespokojnie. Myślenie właśnie teraz o wzięciu Portii Lanchester do łóżka nie jest najlepszym pomysłem. Minęło już prawie czterdzieści osiem godzin, odkąd miał ją po raz pierwszy, i jego apetyt narastał. Chciał ją mieć teraz, natychmiast! Z ledwo powstrzymywaną frustracją wrócił do rozmowy o żegludze.

Obok niego Portia stała sztywna jak kawałek drewna. Z twarzą obojętną, jakby włożyła maskę, popijała szampana.

W drodze powrotnej do hotelu Portia wcisnęła się w kątek kanapy i wyglądała przez przydymione okno. Wiedziała, że wypła za dużo szampana. Burzył jej się w żyłach, działał na podrażnione nerwy jak izolujący koc.

Ale potrzebowała tego. Potrzebowała czegoś, cze-gokolwiek, by w ogóle móc funkcjonować.

Czegoś, co by ją chroniło przed gehenną, która ją czekała.

Diego Saez znów będzie chciał wziąć ją do łóżka. A gdy to zrobi, jej ciało znów zapłonie ogniem, który on w niej wzniecał. Nie potrafi tego powstrzymać.

Jak zniesie tę torturę?

Ale musi ją zniesić. I to było najgorsze ze wszystkiego.

Nie myśl! Po prostu nie myśl! - nakazała sobie.

Otoczona kokonem alkoholowego oszołomienia, weszła do apartamentu i zatrzymała się. Co on chce, by teraz zrobiła? Poszła do sypialni? Jego sypialni?

Stała, czekając na instrukcje, a pokój wirował wokół niej.

- Portia?

Głos Diega doleciał ją z bardzo daleka. Odwróciła się, pokój zaczął wirować jeszcze szybciej.

- Ile wypiałś?

Spojrzała na niego. Jest taki wysoki, pomyślała, a te patrzące na nią oczy powodują, że czuje się słaba i bezwolna. Smokingowa marynarka opinająca jego szerokie ramiona, biel gorsu koszuli na muskularnej piersi...

Pragnęła położyć na niej ręce, poczuć twarde mięśnie, przywrzeć do niego.

Patrzyła na niego tak, jakby piła go wzrokiem.

To było pożądanie. Uczucie, którego nigdy jeszcze nie doznała.

Aż do czasu, gdy spotkała Diega Saeza.

Powoli, lekko się chwiejąc, podeszła do niego. Cała jej istota koncentrowała się na nim. Na całym świecie nie istniało nic prócz niego.

Stał nieruchomy jak skała. Twarz miał kamienną. Tylko na policzku pulsował mu nerw.

W jej żyłach pienił się szampan. Ile wypiała? Uśmiechnęła się powolnym, zmysłowym uśmiechem.

- Wystarczająco - szepnęła. Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła jego usta do swoich.

Przez jedną, krótką chwilę opierał się, walczył o zachowanie kontroli nad sobą.

Ale gdy poczuł miękkość jej warg, był zgubiony.

- Dziś musisz sama znaleźć sobie jakieś zajęcie

- oświadczył Diego rano. - Mam spotkania aż do wieczora. Co będziesz robić? Pójdiesz sobie coś jeszcze kupić?

- Może - odparła obojętnie.

Miała swoją zbroję, która utrzymywała cały świat na dystans, a ją chroniła w mglistym kokonie.

Jedli śniadanie przy stoliku ustawionym koło okna. Portia zadowolona się plasterkiem papai, Diego zamówił jajka po benedyktyńsku. Wyglądało na to, że ma zdrowy apetyt.

Ale też był postawnym mężczyzną. Wysokim, dobre zbudowanym. Musi się dobrze odżywiać.

Nie myśl o jego ciele, nakazała sobie. O tym, co z tobą robiło...

To było na czas nocy. Czas nocy, gdy zbroja znikała, Gdy jej nagie ciało odpowiadało na jego żądę.

A on to w pełni wykorzystał.

Odsunęła talerz.

- Dlaczego nie jesz? - spytał z irytacją.

- Nie jestem głodna.

Coś zabłysło przez sekundę w jego oczach. Wyglądało jak złość. Zastanowiła się dlaczego.

Przyglądał się jej. Nie jest głodna. Zacisnął usta. Nigdy w życiu nie była głodna. Nie znała nawet znaczenia tego słowa.

On je znał.

Wiedział, co to głód.

Odepchnął wspomnienia. Już nigdy nie będzie głodny, chyba że sam tego zapagnie.

Dojadł jajka do końca i odchylił się na krześle. Powinien czuć się zrelaksowany, ale tak nie było.

Seks zawsze go uspokajał. A w nocy miał mnóstwo seksu. I będzie go miał jeszcze więcej w ciągu nadchodzących dni.

Ale nie był zrelaksowany.

Może ma już jej dość?

Popatrzył na nią. Właśnie unosiła filiżankę do ust, rękawy szmaragdowego kimona opadły, ukazując szczupłe ręce, jedwab się napiął, podkreślając piersi po obu stronach głębokiego rowka.

Poczuł, jak tężeje, mimo nasycenia.

Nie, zdecydowanie nie ma jej dość.

Gwałtownie wstał.

Cokolwiek czuje, ma dziś sporo do roboty. Ale nagle dzień, który dopiero się rozpoczynał, wydał mu się bardzo długi. I nudny. Chciał, by już był wieczór.

Ogarnęła go irytacja. Na ogół uwielbiał pogoń za pieniędzmi, wypróbowywanie nowych możliwości. A tutaj, na Dalekim Wschodzie, było ich mnóstwo. Lubił tutejszy stosunek do pieniędzy. Szczerzy i uczciwy. Kwitnące gospodarki chciały pieniędzy i były przygotowane na to, by ciężko na nie pracować.

Tak samo, jak on.

Ale nie każdy zapracował na swoje pieniądze.

Spojrzał na jasną głowę, lekko pochyloną nad filiżanką.

Portia Lanchester chciała zachować bogactwo, więc oddała mu swoje ciało, mimo że dotykając go, brukała swoje czyste jak lilie ręce.

Szyderczy uśmiech wykrzywił mu usta.

Teraz już nie była taka wyniosła. Nie była wyniosła, gdy leżała pod nim. O, nie! Drżała w jego ramio-

nach z rozkoszy, jej ciało pulsowało, niezdolne, by pohamować reakcję na to, co on jej robił.

W jego oczach zabłysło jakieś ciemne światełko. Obdarowywanie jej rozkoszą jemu samemu też sprawiało rozkosz.

Szokowanie jej swoimi wymaganiami jeszcze bardziej tę rozkosz wzmacniało.

A minionej nocy miał wiele wymagań.

I będzie ich miał mnóstwo dzisiejszej nocy.

Ale najpierw musi jakoś przebrnąć przez dzień.

Dzień, który rozciągał się przed nim w nieskończoność.

Portia wstąpiła na lunch do Raffles, owianego nimbem legendy hotelu, noszącego nazwisko założyciela Singapuru, sir Stamforda Rafflesa.

Czuła się zawieszona w czasie. Jak mucha w bryłce bursztynu. Czas szedł naprzód, ale bez niej. Bolało ją całe ciało, jakby miała za sobą ciężką fizyczną robotę.

A w głowie ciśnienie coraz bardziej narastało.

Wiedziała z pewnością, która przeszywała ją jak ostrze noża, że to, co się dzieje, niszczy ją.

Ale nie mogła nic na to poradzić.

Stała się nałogowcem, nałogowcem, który jednocześnie pragnie i nienawidzi swojego nałogu.

A jej nałogiem był Diego Saez, który zabierał ją do raju zmysłów, jakiego do tej pory nawet nie przeczuwała, że istnieje, a potem ją odpychał.

Nic dla niego nie znaczyła. Była tylko ciałem.

Gdzieś głęboko w niej tłukł się puls. A w głowie, szukając ujścia, narastało ciśnienie.

Ale nie było żadnego ujścia. Żadnej ucieczki od tego, co robi jej Diego Saez.

Zamierzała teraz wybrać się do sklepów po trochę bielizny, przybory toaletowe, kilka magazynów i książek. Nie wiedziała, ile czego ma kupić, bo też nie wiedziała, jak długo Diego zostanie w Singapurze ani gdzie zabierze ją potem.

Ani w ogóle jak długo ją przy sobie zatrzyma.

Wiedziała tylko, że dokonała wyboru i teraz nie ma już odwrotu,

Będzie musiała przejść całą tę drogę, aż do gorzkiego końca.

Niezależnie od tego, jaką cenę przyjdzie jej za to zapłacić.

Portia wzięła jeszcze jeden kęs kaczki i odłożyła pałeczki. Wydawało jej się, że talerz znajduje się bardzo daleko od niej, tak samo jak przykryty nieskazitelnie białym obrusem stół i ludzie siedzący wokół stołu.

Wszystko wydawało się dalekie, zamglone.

Nierzeczywiste.

- Nie smakuje pani kaczka? To specjalność tej restauracji, ale możemy zamówić coś innego - zaproponowała jej sąsiadka, drobna, elegancko ubrana osoba.

- Nie, dziękuję. Bardzo mi smakuje. Po prostu nie jestem głodna.

Diego przyjrzał jej się bacznie ponad stołem.

- Może to przez ten upał - zgadywała kobieta. - Zaaklimatyzowanie się zajmuje trochę czasu, zwłaszcza Anglikom. Pani... - zawahała się przez ułamek

sekundy - partner ma więcej szczęścia. Na pewno jest przyzwyczajony do takich temperatur, prawda, señor Saez?

Diego przesunął spojrzenie od Portii na ich gospodynię, żonę prezesa jednej z azjatyckich spółek telekomunikacyjnych, z którym omawiał możliwości zainwestowania w chińską firmę.

- San Cristo leży o wiele bardziej na północ niż Singapur, ale rzeczywiście, lata są tam chyba tak samo gorące jak tutaj.

- San Cristo? - spytała grzecznie pani Ling.

- Stolica Maragui, jednego z najbardziej nieciekawych krajów Ameryki Środkowej - wyjaśnił Diego suchym tonem. - Rzadko dzieje się tam coś, co mogłoby przyciągnąć uwagę świata.

- Czy nie zdarzyły się tam jakieś zamieszki rok czy dwa lata temu? W związku z wyborami? - spytała pani Ling.

- Tak. Wygrał front ludowy, który nie cieszy się specjalnym uznaniem - wyjaśnił Diego. W jego głosie zabrzmiała jakaś ponura nuta, i zaraz wrócił do poprzedniego tematu rozmowy, inwestycji w Chinach.

Portia sięgnęła po filiżankę zielonej herbaty. Tylko to mogła przełknąć. Zapach jedzenia wywoływał mdłości. Popijała herbatę, a ręką, w której trzymała filiżankę, drżała.

Poczuła na sobie wzrok Diega.

- Dobrze się czujesz?

Jego głęboki głos przedarł się przez otaczającą ją mgłę.

- Tak, bardzo dobrze.

Przez chwilę przytrzymał wzrokiem jej spojrzenie, a wtedy napięcie, jakie w sobie czuła, jeszcze bardziej się pogłębiło.

Ale zaraz wrócił do rozmowy z panią Ling.

Oboje wydawali jej się dalecy, ich głosy przypływały i odpływały, ciśnienie w jej głowie narastało.

Odstawiła filiżankę, która zabrzączała o spodek.

Pani Ling spojrzała na nią.

- Na pewno dobrze się pani czuje? Wygląda pani tak, jakby była trochę... rozgorączkowana.

Portia zmusiła się do oderwania oczu od Diega.

- Dziękuję, naprawdę nic mi nie jest.

Diego przez stół przyglądał jej się ponurym wzrokiem.

- Pytałem, czy jesteś chora. - W głosie Diega słychać było złość.

Byli już w hotelu. Nie siląc się na odpowiedź, Portia podeszła do barku, wzięła butelkę ginu i puszkę toniku, potem z lodówki wyjęła trochę lodu, wszystko to wrzuciła do shakera i przygotowała sobie drink.

- Odpowiadaj!

Wypiła łyk. Ręka lekko jej drżała. Odwróciła się do niego. Dziwne napięcie, jakie ją ogarnęło w restauracji, odeszło. Zniknęło podczas jazdy windą do apartamentu.

- Nie jestem chora - powiedziała.

- Więc, do diabła, co się z tobą dzieje?

Popatrzyła na niego. Pytanie było tak nieprawdopodobne, że mogła tylko na niego patrzeć.

- Portia...

W jego głosie zabrzmiał dziwny ton. Nic nie powiedziała, tylko patrzyła.

- Nie potrafisz mówić? - spytał niecierpliwie.

Nadal tylko patrzyła. A skądś, sama nie wiedziała skąd, wśliznęła się na nią zbroja.

- Co mam ci powiedzieć?

- Gdzie dziś byłaś? Co robiłaś?

Ciekawe, dlaczego o to pyta. Co go obchodzi, jak spędza dni? Dla niego istniała tylko w nocy. W jego łóżku.

Ale mimo to odpowiedziała.

- Pojechałam na Sentosę.

- Na Sentosę? - zdziwił się.

- To wyspa z plażą na południe od Singapuru.

- Wiem, gdzie to jest. Ale po co tam pojechałaś?

- By oddalić się.

- Od czego?

Od ciebie. Od tego wszystkiego. By chociaż na parę godzin odzyskać zdrowe zmysły.

Milczała. Tylko tyle wolności jej pozostało.

Nie odrywając od niego wzroku, wypita następnym łyk ginu.

Miał na sobie codzienne ubranie, świetnie podkreślające jego szerokie ramiona. Poczwała nagłą potrzebę dotknięcia go. Była bezbronna wobec tego wstydliwego nałogu.

Pragnęła go.

Pragnęła czuć jego ciało, twarde i pragnące jej ciała.

Pragnęła, by zdarł z niej ubranie i rzucił ją na łóżko.

Posiadł ją.

Wziął ją całą, z duszą i ciałem.

Twarz mu pociemniała. Podeszedł do niej i chwycił za ramiona.

Ogarnęło ją podniecenie. Seksualne podniecenie, które w niej rozpętywał, noc po nocy, takie, o jakim nawet nie wiedziała, że istnieje, i jakiego nie zazna już nigdy po tym, jak on z nią skończy.

Zabrał jej szklankę i głośno odstawił na stolik. Nie odrywał od niej spojrzenia. Coś w jego oczach rozpalilo się.

- Nie chcę, żebyś się upiła. Chcę, żebyś była bardzo, ale to bardzo trzeźwa...

Przyciągnął ją do siebie i wciągnął w wir, który wysssał z niej wszystko. Wszystko prócz palącej potrzeby nasycenia się nim. I nasycenia go swoim nagim, rozpalonym ciałem.

- Muszę z tobą porozmawiać - oświadczyła Portia stanowczo.

Diego podniósł głowę znad gazety, którą czytał przy śniadaniu.

Twarz miała bez wyrazu. Ale tak było zawsze.

Tylko nie w łóżku. Tam, i tylko tam, opadała ta maska obojętności. Tam, gdy ją pieścił, brał, jej twarz pokazywała wszystko, co czuła. Nie potrafiła ukryć swojej reakcji na niego.

Patrzył na nią. Jego rysy stężały, jak zawsze, gdy widział jej twarz bez wyrazu.

- Więc mów.

Przyglądał jej się ponuro. Zeszczuplała. Kości policzkowe wyraźnie odznaczały się na wychudzonej twarzy.

Nic dziwnego. Przez ten tydzień, gdy byli ze sobą, prawie nic nie jadła.

Powiedziała, że nie jest chora, więc co, do diabła, się z nią dzieje?

- Jak długo zamierzasz zostać w Singapurze?

Pytanie zostało wypowiedziane z tą samą chłodną obojętnością, która zawsze doprowadzała go do pasji.

- Dlaczego pytasz? Myślisz, że już mam cię dosyć?

Miała wrażenie, że skóra na jej twarzy staje się za ciasna.

- Teraz wzięłam niezaplanowany urlop. Muszę wiedzieć, o ile czasu jeszcze mam prosić.

Odłożył gazetę.

- Portio, powiedz. Co zrobisz, jeżeli twój szef odmówi?

- Wezmę bezpłatny urlop. A jeżeli będzie to konieczne, złożę wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym. Dlaczego pytasz?

- Żeby się upewnić, że rozumiesz, na jakich warunkach tu jesteś. Że będziesz ze mną tak długo, aż powiem ci, że możesz odejść. Czy to jest jasne?

Przez długą chwilę tylko na niego patrzyła. Spojrzenie miała puste.

- Portio, ty to zaczęłaś - powiedział miękko.

- Ale przyjmij do wiadomości, że koniec nastąpi wtedy, gdy ja będę sobie tego życzył.

Przytrzymał jej spojrzenie jeszcze przez chwilę, a potem wrócił do czytania gazety.

Kuala Lumpur, Manila, Tajpej. Najbardziej luksusowe hotele, dni spędzane samotnie na zwiedzaniu,

zakupach, drzemkach przy basenie. Jak najmniej myślenia. Przetrwanie.

I czekanie.

Czekanie na noc.

Była północ. Czas, gdy wreszcie mogła nasycić się tym, co Diego jej robił, tym, co pozwalała mu ze sobą robić, tym, co czuła w jego ramionach, w jego łóżku.

To było jak gorączka w jej krwi, w jej ciele.

Gorączka, która ją spalała.

Bo jak każdy nałogowiec, odczuwała tę rozpaczliwą pewność, że to trucizna, która ją zniszczy.

Ale nie miała wyboru.

Manila, Dżakarta, Hongkong.

Diego pędził przed siebie z wyniszczającą furją. Coś go do tego zmuszało. Pracował z bezlitosnym pośpiechem, tak by mieć zajętą każdą minutę dnia.

Spieszył się, by dotrzeć do nocy.

Gdy mógł znów mieć Portię tylko dla siebie.

Bez tych wszystkich mówiących do niego ludzi, bez tego zimnego, uprzejmego uśmiechu, który wydawał się przylepiony do jej twarzy, bez tej zimnej krwi, z którą przyjmowała wszystko.

Zimna krew? Zaśmiał się szyderczo.

Nie okazywała zimnej krwi, gdy leżała pod nim, a jej ciało prężyło się w orgazmie. Nie wtedy, gdy przywierała do niego, rozpalona od pożądania.

Wtedy jej krew była gorąca.

I takiej Portii chciał, takiej, jaką miał w ciemnościach nocy, gdy należała do niego i tylko do niego. Gdy uctował jak człowiek cierpiący głód.

Każdego dnia chciał więcej i więcej. To był głód, którego nigdy nie da się zaspokoić, głód, który narastał z każdym mijającym dniem.

Uśmiechnął się, kpiąc z samego siebie.

Jak do tego doszło?

Jak Portia Lanchester doprowadziła go do takiego stanu?

A co gorsza, jak on mógł do tego dopuścić?

Nie wiedział. Wiedział tylko jedno. Wkrótce, już wkrótce musi znaleźć w sobie siłę, by z nią skończyć, odłączyć ją od swojego życia.

Uwolnić się od niej.

Zanim będzie za późno.

Portia stała na balkonie apartamentu w hotelu w Koulunie i przyglądała się promom linii Star Feny przemierzającym zatokę do wyspy i z powrotem. Dzień był pochmurny, Peak okrywała mgła. Zastanawiała się, czym ma się dziś zająć. Zwiedzała Hongkong już od trzech dni. Nie pozostało jej wiele do zobaczenia.

Szklane drzwi za nią otworzyły się.

- Portio.

Jego głos, jak zwykle, był szorstki. Już się do tego przyzwyczaiła.

Ale gdy się odwróciła i popatrzyła na niego, w te głęboko osadzone czarne oczy, jak zawsze poczuła tęsknotę.

Przez chwilę jego oczy odpowiedziały jej taką samą tęsknotą.

A potem to minęło, przybrał swoją zwykłą, obojętną minę.

- Słucham? - powiedziała, też ze zwykłą obojętnością.

Przez chwilę nie odzywał się. Wydawał się zmęczony, chociaż był świeżo ogolony, a w ręcznie szytym garniturze i niepokalanie białej koszuli, kontrastującej z opaloną skórą, tak przystojny, że aż zapierał dech.

Przez chwilę tak krótką, że niemal nie mogła w to uwierzyć, poczuła impuls, by podejść do niego, wygładzić zmarszczkę na jego czole, objąć go, wesprzeć.

- Na kilka dni wyjeżdżam do Szanghaju.

Chłód w jego głosie przywrócił ją do rzeczywistości.

Szanghaj, pomyślała. Czy jest tam coś do zwiedzania?

- A ty wracasz do Londynu.

Patrzyła na niego, wyraz jej twarzy się nie zmienił.

- Portio, słyszałaś?

- Tak.

- Kupiłem ci bilet. Samochód zawiezie cię na lotnisko.

Mogła tylko na niego patrzeć.

Przez jego twarz przebiegło drżenie.

- Portia...

Jej imię zawisło w powietrzu, a potem, już bez słowa, wszedł do pokoju, zasuwając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W jej mieszkaniu nic się nie zmieniło. Wszystko pozostało tak, jak zostawiła.

Ale ona zmieniła się całkowicie. Nie była już tą samą osobą, która niedawno stał wyjeżdżała.

Stawiając walizkę w sypialni, złapała swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Szybko odwróciła wzrok, ale zdążyła zobaczyć chudą, wymizerowaną twarz.

Nieprzytomnie rozejrzała się po pokoju. Nie wiedziała, co ma teraz robić.

Umysł jej nie działał. Był ciągle okryty tym samym otępiającym kocem, który ją otaczał od chwili, gdy w Hongkongu wróciła z balkonu do pokoju i stwierdziła, że Diega nie ma.

By czymś się zająć, poszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę.

Filizanka herbaty. To właśnie ludzie robią, gdy wracają do domu po podróży. Piją herbatę.

Zmuszając się do każdego ruchu, załała torebkę wodą i z kubkiem poszła do bawialni. Zapaliła lampę i usiadła na kanapie. Była zmęczona, tak bardzo zmęczona, obawiała się, że już nigdy nie będzie mogła z niej wstać.

Dochodziła północ. Położyła głowę na oparciu kanapy i zamknęła oczy.

Chciała coś czuć. Cokolwiek.

Ale wszystko okrywał gruby, otepiający koc.

Była w domu.

W domu po podróży, która zabrała ją dalej niż tylko na drugi koniec świata. Podróży, z której nie mogło być powrotu.

Nie była tą osobą, którą była przedtem.

Już Diego Saez o to zadbał.

Znów poczuła ciśnienie, do którego tak ostatnio się przyzwyczyła. Napierało na wnętrze jej ciała, miała wrażenie, że zaraz rozprysnie się na kawałki.

Zacisnęła palce na kubku.

Nagle poderwała się, pobiegła do łazienki, rozbierając się po drodze, i puściła prysznic. Najpierw zimny, potem gorący, potem tylko ciepły. Sięgnęła po mydło i zaczęła się szorować.

Ale nie poczuła się czysta.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Portia zastygła, ręce zamarły jej nad trudnym listem, który pisała do swojego szefa. W końcu przemogła się i poszła otworzyć. Przed drzwiami stał Tom, już wyciągał rękę, by zadzwonić jeszcze raz.

- Portia! Gdzie ty się podziewałaś?! - wykrzyknął ze złością i niepokojem jednocześnie.

Była na to przygotowana. Wiedziała, że Tom w którymś momencie zauważy jej powrót do domu i przyjdzie do niej.

- Wzięłam urlop i wyjechałam - wyjaśniła.

Nie patrząc na niego, zaprowadziła go do bawialni. Z trudem znosiła to spotkanie. Z ogromnym trudem.

- Urlop? - powtórzył zaskoczony. - Dobry Boże, Portia, chorowałaś? Wyglądasz okropnie. Złapałaś którąś z tych zagranicznych infekcji?

- Napijesz się kawy? - zaproponowała, nie odpowiadając na jego pytanie.

- Nie, dziękuję. Powiedz, co się z tobą przez ten cały czas działo? - gorączkował się. - Dzwoniłem do Hugh'a, spytać, czy wie coś więcej, ale okazało się, że tak samo jak ja otrzymał tylko wiadomość w poczcie głosowej, zostawioną późnym wieczorem.

- Tak, rzeczywiście, to była nagła decyzja.

Tom patrzył na nią. Wolałaby, żeby tego nie robił. Na jego twarzy malował się niepokój.

- Portia, nic ci nie jest?

- Nic - odparła automatycznie. Jej głos brzmiał krucho. Ale też cała tak się czuła.

Jednak jakoś funkcjonowała, a to było najważniejsze. Rano wstała, zrobiła zakupy, dzień był dżdżysty, jak zwykle latem w Anglii. Normalnie. Wszystko było normalne.

Poza tym, że odbierała to jak przez grubą, nieprzekraczalną, przezroczystą szklaną ścianę.

Tom też stał za tą ścianą. Widziała go, ale znajdował się bardzo daleko.

Albo może to ona była bardzo daleko.

- Co u ciebie? - spytała, by przestał tak na nią patrzeć.

- Wszystko w porządku. A właściwie tak dobrze jak nigdy. Dostałem zwolnienie z więzienia i jestem taki szczęśliwy! Przejęcie banku idzie w dobrym tempie, została już tylko papierkowa robota. Przyje-

chał człowiek Saeza, zajmuje się wszystkim, więc ja jestem na przymusowym urlopie. Dla zachowania pozorów muszę czasami tam pójść, bo przecież nadal jestem dyrektorem, ale na szczęście nie podejmuję już żadnych decyzji. Wujek Martin został zwolniony. Mówię ci, jest straszliwie obrażony. Nagadał mi od ostatnich, oskarżył o niekompetencję i nieodpowiedzialność, i wyleciał z pokoju jak z procy. Ale nic mnie to nie obchodzi. Ma swoje pieniądze i kumpli w City, z którymi może się spotykać.

Tom spoważniał.

- Wiesz, to przejęcie to najlepsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. I mieliśmy wielkie szczęście, gdy Saez uznał, że warto wziąć nasz bank. Może uważał, że Loring Lanchester stanowi dźwignię, która pozwoli mu przejść do interesów mających dla niego większe znaczenie. Kto wie? - Wzruszył ramionami. - Ale ja już nie odpowiadam za bank i jestem za to niewypowiedzianie wdzięczny losowi. Przecież niemal straciłem Salton. O mały włos. Teraz Salton nie pójdzie pod młotek, a tylko to mnie obchodzi. Udało mi się je uratować. Będzie mogło przejść na mojego syna.

Patrzył na Portię niemal ogłupiały ze szczęścia.

Zalały ją fale chłodu. Dźwignia, by zyskać coś innego...

Właśnie tym dla Diega Saeza był Loring Lanchester. Dźwignią, by dostać to, czego chciał: ją w swoim łóżku.

Tom mówił dalej, jego głos dochodził do niej zza grubej szklanej ściany.

- A skoro już o tym mowa, o synu, dziedzicu i tak dalej, w tym tygodniu pojechałem do Fliss. Wszystko ustaliliśmy, ale nie będziemy się spieszyć. Jej matka chce mieć kilka miesięcy na przygotowanie tego całego kramu, więc ślub weźmiemy chyba we wrześniu. A do tego czasu wykorzystam mój przymusowy urlop i gdzieś wyjedziemy. Fliss zasługuje na to. Zachowywałem się jak ostatni łajdak, pozwalając jej gotować się we własnym sosie, bo nie miałem odwagi powiedzieć, że z powodu bankructwa banku nigdy nie mógłbym się jej oświadczyć. Tak więc ucieknijmy w jakieś naprawdę cudowne miejsce. Jak jest teraz na Małediwach? To chyba pora monsunów?

- Nie mam pojęcia - zdołała powiedzieć Portia.

- Ach, w biurze podróży będą to wiedzieć. A tak przy okazji, gdy ty byłaś? Ale gdziekolwiek to było, my tam nie pojedziemy. Po tej podróży wyglądasz jak widmo. - Zmarszczył czoło. - I schudłaś. Portia, została z ciebie sama skóra i kości! Naprawdę powinnaś pójść do lekarza.

- Nic mi nie jest. To po prostu efekt zmiany czasu.

Chciała, by Tom już sobie poszedł i zostawił ją samą, zamkniętą bezpiecznie w szklanej kapsule.

Ale Tom nie odchodził.

- Od zmiany czasu się nie chudnie. Musiałaś złapać jakąś chorobę. Bo jedyny inny powód, dla którego młode kobiety chudną, to porzucenie przez mężczyznę. Ale to chyba ciebie nie dotyczy, bo od czasów Geoffreya z nikim się nie związałaś, więc...

Nagle zamilkł i bacznie jej się przyjrzał.

- Och, Boże, Portia - wykrztusił wreszcie. - O to chodzi? Wyjechałaś z jakimś mężczyzną i nie udało się?

Podszedł do niej i uściskał.

Odsunęła się. Nie chciała, by jej dotykał!

Bo mogłaby się rozlecieć.

Szklana ściana, która chroniła ją przed światem, mogłaby się roztrzaskać.

A wtedy ona też by się roztrzaskała.

- Nie! Ze mną wszystko w porządku. Tom, to nie było nic poważnego. Po prostu taki wyskok.

Pokręcił głową.

- Portia, ty nie miewasz wyskoków. Więc jeśli jakiś mężczyzna namówił cię, byś z nim wyjechała, to musiało być dla ciebie bardzo ważne.

Tak, pomyślała. I ciśnienie wewnątrz niej wzrosło. Musiałam uratować dla ciebie Salton.

- Musiało ci na nim bardzo zależeć - kontynuował Tom ze współczuciem.

- Nie! Wcale mi nie zależało. Był nikim.

Czuła, jak rysy na szklanej ścianie się poszerzają. Jeszcze chwila, a ciśnienie rozniesie ją w drobny mak.

Tom patrzył na nią z litością.

- Słuchaj. Widzę, że rzeczywiście ciężko to przeżyłaś, ale pewnie zaraz zechcesz wrócić do pracy. Może wzięłabyś jeszcze kilka wolnych dni i pojechała do Salton? Pani T. już tam o ciebie zadba i...

- Nie! - To słowo wystrzeliło z niej jak kula.
- Ja... Przykro mi, Tom, ale chcę, żeby pozostawiono mnie w spokoju. Nie mogę jechać do Salton.

Nigdy już nie będzie mogła wrócić do Salton. Uratowała je dla Toma, dla jego dzieci, dla jego przyszłej żony, ale ceną było to, że ona sama nigdy już tam nie pojedzie.

Gdyby wiedział, gdyby wiedział, co zrobiła! Gdyby mógł widzieć, co robiła z Diegiem Saezem! Gdyby mógł widzieć, co pozwoliła mu robić, noc po nocy. I jak tego pragnęła. Jak nie mogła się nim nasycić. Jak nigdy nie miała tego dość...

Tom coś jeszcze mówił, jego głos dochodził do niej z bardzo daleka.

- Tom, proszę, chcę zostać sama - powiedziała drżącym z napięcia głosem. - Po prostu chcę zostać sama.

Ale samotność w niczym jej nie pomogła.

Samotna, jak dzień długi, a potem przez niekończące się noce, musiała patrzeć w twarz swojemu demonowi. Demonowi poczucia winy.

Za prehandlowanie swojego ciała, by uratować Salton.

Za to, że pożądała mężczyzny, który je kupił.

I, co było najgorsze, co szarpało ją rozgrzanymi do czerwoności obcęgami, za to, że nadal go pożądała.

Bo to było najgorsze, to było najbardziej karygodne, że po tym, co jej zrobił, nadal go pragnęła.

A to, że go pragnęła, leżało jej na sumieniu jak najcięższe brzemię. Pragnęła mężczyzny, który tak ją potraktował. Który mógł ją brać, gdy tylko zapragnął, bez żadnego uczucia, tylko dla zaspokojenia swojej żądzy.

Wspomnienia płynęły przez nią jak wezbrana rzeka. Gorące i zawstydzające.

Zawstydzające, ponieważ mu odpowiadała, drżała pod jego dotykiem, płonęła pod jego pieścizotami. Pieścizotami mężczyzny, który szantażem wciągnął ją do swojego łóżka, bo inaczej nigdy by do niego nie przyszła.

Ale powoli, bardzo powoli spod tego przygniatającego brzemienia winy zaczynało wydostawać się na powierzchnię inne uczucie.

Długo je w sobie tłumiła. Gdyby się bowiem do niego przyznała, straciłaby to, dla czego się sprzedała. Uczucie, które było tak niebezpieczne, że nigdy, przenigdy nie pozwalała mu wydobyć się na wierzch. Ale istniało gdzieś głęboko, w samym jądrze jej istoty.

A teraz zaczynało wypływać na powierzchnię.

I wiedziała, że musi do tego dopuścić.

Albo straci zmysły.

Zżerała go złość. Zimna, szalona złość.

Czaiła się w nim jak głodny jaguar.

Na wszystko. Na cały świat.

Ale przede wszystkim na dwie osoby.

Na siebie.

I na Portię Lanchester.

Gniew na siebie był niepohamowany.

Jak mógł? Jak mógł doprowadzić się do takiego stanu? Jak, do diabła, do tego doszło?

Próbował z innymi kobietami. Żadna mu nie odmówiła. Brał te, które już kiedyś miał, zawsze chętne,

by przyjść po więcej. A na każdym spotkaniu towarzyskim istniał również szeroki wybór nowych, takich, które dopiero poznał. Te też się nie wzdragały. Od powrotu z Chin miał ich co najmniej pół tuzina, dawnych i nowych, w każdym możliwym fizycznym typie, ale za każdym razem - za każdym razem! - albo odsyłał je do domu, albo sam odchodził.

Nic dla niego nie znaczyły. Nic.

Żadna kobieta nic dla niego nie znaczyła.

Oprócz jednej.

Znów ogarnęła go furia.

Dlaczego, do diabła, ciągle jeszcze pragnie Portii Lanchester? Przecież ją miał, *Dios*, miał ją noc po nocy, gorącą, spełniającą wszystkie jego kaprysy. Więc dlaczego nadal jej pragnie?

Dlaczego tylko jej ciała chce pod sobą, nad sobą, i w każdy inny sposób?

Dlaczego tylko jej twarz widzi w dzień i w nocy, nawiedzającą go podczas spotkań w interesach, panoszącą się w jego snach?

Jak może ciągle jeszcze jej pragnąć?

Jej, kobiety, która nim gardzi. Kobiety, która uważała się za zbyt dobrą, by miał prawo jej dotykać?

Oprócz chwil, gdy jego dotyk mógł uratować jej rodzinny majątek...

Złość w nim buzowała.

Jak mógł nadal pragnąć takiej kobiety?

Pomyślał, że pójdzie na siłownię w hotelu. Może mordercze ćwiczenia wypompują trochę tej złości, która go zżera.

Tylko że to coś więcej niż złość.

To frustracja.

Nie był przyzwyczajony do obchodzenia się przez tyle czasu bez seksu.

A minęły już trzy tygodnie, odkąd wypędził Portię.

Trzy tygodnie celibatu, bo nie potrafił choćby przelotnie zainteresować się inną kobietą.

Jak długo ma to jeszcze trwać?

Ile czasu minie, zanim uwolni się od pożądania Portii Lanchester?

Niecierpliwym gestem rozluźnił krawat.

Zadzwoił telefon.

- Tak?

- Panie Saez, przyszła pani Lanchester - oznajmił obojętnym tonem recepcjonista.

Zamarł. Czy dobrze usłyszał?

Recepcjonista uprzejmie czekał.

A potem Diego usłyszał swój głos:

- Niech wejdzie.

Drugi raz jadę tą samą windą do tego samego mężczyzny, pomyślała Portia, naciskając guzik ostatniego piętra.

Dziś jednak to było coś zupełnie innego.

Za pierwszym razem zamierzała się sprzedać.

Tym razem...

Zacisnęła usta w wąską, twardą linię.

Tym razem dokona się transakcja całkiem innego rodzaju.

Winda zatrzymała się i Portia wyszła na cichy,

pusty korytarz. Diego Saez nadal zajmował ten sam apartament.

Nie wiedziała, kiedy wróci do Londynu. Prosiła więc sekretarkę Toma, by ją o tym zawiadomiła.

Sekretarka zadzwoniła dziś rano. Pan Saez, powiedziała, jest w Londynie. Po południu ma spotkanie, ale potem jest wolny. Tak, zamieszkał w tym samym hotelu na Park Lane co przedtem.

Portia ubrała się bardzo starannie. Kostium był świeżo odebrany z pralni, pantofle wypolerowane. Włosy splotła we francuski warkocz. Makijaż ograniczyła do minimum.

Zapukała do drzwi.

Otworzyły się natychmiast.

Przez długą, koszmarną chwilę stała bez ruchu, a potem podjęła herkulesowy wysiłek, by wejść.

Przed nią stał Diego Saez.

Jego postać górowała nad nią, wszystko zdominowała jego mroczna obecność.

Zaczęła ogarniać ją słabość, jakby kręgosłup nie był w stanie jej utrzymać w wyprostowanej pozycji.

- Portia. - Jego głos przywrócił ją do przytomności. - Jakie to... niespodziewane.

Nie pozwoliła sobie spojrzeć mu w twarz; wchodząc do pokoju, patrzyła gdzieś ponad jego ramieniem. Zamknął drzwi. Słyszała ich stuk, ostateczny, nieodwołalny. Jakby dawał jej znać, że już nie może się wycofać.

Otworzyła torebkę, wyciągnęła kawałek papieru i położyła go na stoliku.

Tym razem spojrzała na Diega.

Jego twarz była jak maska, oczy jak kawałki obsydianu.

- To dla ciebie - powiedziała spokojnie. I zamknęła torebkę.

Patrzyła, jak bierze papier, uświadamia sobie, że to czek, uświadamia sobie, na jaką sumę, na czyje nazwisko jest wystawiony.

Znieruchomiał. Potem przesunął spojrzenie z czeku na nią.

- Co to ma być? - Głos miał tak samo bez wyrazu jak twarz.

Była spokojna, absolutnie spokojna.

Tylko gdzieś w głębi znów zaczęło narastać znajome ciśnienie.

- To dla ciebie - powiedziała. - Byłeś dobry. Nawet bardzo dobry. Obawiam się, że nie wiem, jakie są ceny rynkowe za usługi ogiera, ale chyba przyznasz, że ta suma stanowi godziwą rekompensatę za twój czas.

Odwróciła się, by odejść. Ale nie zdążyła. Chwytał ją za ramię i brutalnie odwrócił do siebie.

Twarz miał bladą ze złości.

- Za co, do diabła, myślisz, że mi płacisz?

Czuła, jak ciśnienie w niej narasta. Zaraz wybuchnie.

- Płacę ci - niemal wypłuła z siebie te słowa - za seks, który mi dałeś. Było go tyle i był taki... pomysłowy. I z całą pewnością bardzo pouczający.

- Ty płacisz mnie?

Mogłaby się roześmiać. Roześmiać na widok jego

twarży. Malowała się na niej obraza, złość, niedowierzanie i coś jeszcze, o czym wołała nie myśleć.

Ale nie miała czasu na śmiech. Ani ochoty. Ciśnienie w niej nie pozostawiało miejsca na śmiech. Nie pozostawiało miejsca na nic. Oprócz samego ciśnienia, które nieubłagane narastało.

Chwycił ją też za drugie ramię, niemal miażdżył kości:

- Ośmielasz się to zrobić? Sprzedałaś mi się jak dziwka, a teraz ośmielasz się dawać mi pieniądze?

Ciśnienie wydostało się na zewnątrz.

Oderwała od siebie jego ręce i odstaąpiła o krok.

- Ty łajdaku! - krzyknęła. - Co ja ci zrobiłam, żebyś mnie tak traktował? Żebyś mi zrobił to, co zrobiłeś? Ja ci tylko powiedziałam: nie! Powiedziałam, że nie pójdę z tobą do łóżka! Ale ty nie potrafisz przyjąć odmowy, prawda? Musiałeś bez chwili wytchnienia atakować mnie i osaczać. Prześladować, bo ty mnie chciałeś, a ja ciebie nie chciałam! I za tę zbrodnię, za tę straszliwą, potworną zbrodnię, polegającą na tym, że nie chciałam iść z tobą do łóżka, mieć taniego, brudnego romansu, za tę niewybaczalną zbrodnię uciekłeś się do szantażu! Zagrałeś życiem mojego brata, by wciągnąć mnie do swojego łóżka.

Jego twarz pociemniała. Furia wydostawała się każdym porem jego skóry.

- To ty przyszyłaś do mnie. Sama się ofiarowałaś, bym za niego poręczył.

- Nie miałam wyboru! Ty nie dałeś mi wyboru! Wypisałeś to literami wysokimi na kilometr, gdy

powiedziałaś, że mógłbyś - mógłbyś! - kupić Loring Lanchester. Zrozumiałam przesłanie. Albo dostaniesz ode mnie to, czego chcesz, albo nie doprowadzisz do przejścia banku. Jaki wybór mi to pozostawiało? Powiedz! Jak ci się wydaje, co mogłam zrobić? Stać spokojnie i patrzeć, jak mój brat traci Salton? Nie zapłacić ceny, której zażądałeś? Myślisz, że mogłabym z tym potem żyć? To, co zrobiłam, zrobiłam dla jego dobra. Nie chciałam, ale zrobiłam to! Boże, jak ja tego nie chciałam! - Głos jej zamarł.

Roześmiał się, szorstko, szyderczo.

- Rzeczywiście nie chciałaś. Jasno mi to dałaś do zrozumienia. Ale wierzyłaś, że jakoś sobie poradzisz, bo przez cały czas będziesz myślała o domu przodków. Włożyłabyś rękawice, gdybyś mogła, by nie musieć mnie dotykać gołymi rękami.

Spojrzała na niego z pogardą.

- Masz rację. Powinnam była. Twój dotyk mnie skaził. Nie przyszłam do ciebie jako dziwka, ale dzięki tobie nią zostałam! Już ty się o to postarałeś. Jednak musiałam zrobić to, czego żądałeś, bo inaczej życie mojego brata zostałoby zniszczone. Ale teraz wyrównuję rachunek z tobą. Nie jego rachunek. Mój.

- Milionem funtów?

Jego głos drżał z furii.

- Dlaczego nie? Moje ciało było dla ciebie warte nawet więcej. Kupiłeś Loring Lanchester tylko po to, by mnie zmusić, abym poszła z tobą do łóżka. Niestety milion to wszystko, co mogłam zebrać. Wiem, że przy całym twoim bogactwie to mało znacząca suma. I napawa mnie goryczą, że ci ją daję, bo nawet

jeżeli uważam, że mam uprzywilejowaną pozycję, to nic wobec tego, co masz ty. Spójrz w lustro i powiedz, czy jesteś dumny z tego, co widzisz! Ja może urodziłam się w czepku, ale ty na pewno w kosztownym diademie.

Zamilkła na chwilę, by nabrać powietrza.

- Bóg jeden wie, jaką polać swojego biednego, zacofanego kraju posiadasz. Ilu nieszczęsnych peonów haruje dla ciebie, podczas gdy ty rozbijasz się wesoło po świecie, zarabiając wprost nieprzyzwoite pieniądze, tyle, by kupować banki i seksualne usługi! Więc na to daję ci ten czek. I możesz go zrealizować albo wyrzucić przez okno. Nic mnie to nie obchodzi! Kupiłeś Loring Lanchester, panie Saez, ale nie kupiłeś mnie! I teraz jestem z tobą kwita!

Odwróciła się. Pokój wirował naokoło niej, w gardle czuła żółć. Doszła do drzwi i je otworzyła.

Diego patrzył za nią. Stał nieruchomo, jak skamieniały.

Drzwi się za nią zamknęły.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Bardzo dobrze, Jaime. Świetnie ci poszło!

Portia stała pochylona nad koślawym stołem, i czytała, co chłopiec napisał.

- Dziękuję, proszę pani.

Ciemna twarz chłopca rozjaśniła się w uśmiechu od ucha do ucha, ukazującym oślepiająco białe zęby.

Portia odwzajemniła uśmiech.

- Teraz przepisz następne zdanie - przykazała. Miała nadzieję, że jej hiszpański jest zrozumiały.

- Maria, spójrzmy, jak tobie poszło.

Podeszła do następnego dziecka.

W klasie, z braku klimatyzacji czy chociażby wiatraka, panował nieznośny upał. Ale dzieci były przyzwyczajone do tego gorąca, a pieniądze, które można by przeznaczyć na klimatyzację, były bardziej potrzebne na inne cele.

Tutaj zawsze brakowało pieniędzy. Bez względu na to, ile dzieci przyjęło schronisko, potrzeby były jeszcze większe. Dzieci przychodziły ze slumsów, gdzie bieda, choroba, lub zwykła obojętność, uniemożliwiały rodzicom - o ile w ogóle ich miały - zajęcie się nimi. Portia wiedziała teraz, że schronisko daje im jedyną szansę wydobywania się z tej nędzy, jakie takie wykształcenie i nadzieję na przyszłość.

Przywiodło ją tu zdjęcie, które znalazła na ulotce instytucji charytatywnej zbierającej fundusze. To nie była organizacja, którą wspierała, ale z jakiegoś powodu list do niej trafił. Chodziło o sierociniec w jednym z krajów Trzeciego Świata. Dołączyła go do swojej listy instytucji, które wspomagała. Od czasu do czasu wysłał czek także tam. Zabrała się do otwierania następnej koperty. Ruchy miała mechaniczne, nie myślała o tym, co robi, ale robienie czegoś nawet tak banalnego jak przeglądanie poczty, pomagało jej jakoś funkcjonować.

Minał tydzień od czasu konfrontacji z Diegiem Saezem. Tydzień, od kiedy trucizna wypłynęła z jej żył.

Ale nie przyniosło to jej spokoju.

Bo i jak mogło?

Dawne życie utraciła bezpowrotnie. Nie mogła do niego wrócić, tak jakby nic się nie stało.

To, co zrobił jej Diego Saez, zmieniło ją na zawsze.

Hugh, po otrzymaniu jej dymisji, od razu zadzwonił i próbował ją namówić do zmiany decyzji. Odmówiła, nie tłumacząc powodów swego postanowienia. Sam pomysł, by spędzać dni na ustalaniu tożsamości od dawna nieżyjących modelek drugorzędnych malarzy, wydawał jej się bezsensowny.

Ale wszystko inne też wydawało jej się bezsensowne.

Tom zabrał Felicity na wakacje. Jakoś zdołała się z nimi pożegnać. Jakoś zdołała wytrzymać żywiołową radość Felicity, jakoś zapewniła ciągłe

niepokojącego się o nią brata, że nic jej nie dolega i nie potrzebuje iść do lekarza, mimo że była chuda jak szkielet.

Ale chociaż ręce już jej nie drżały, chociaż funkcjonowała całkiem nieźle, była w stanie chodzić do sklepów, przygotowywać sobie posiłki, jakoś przebrnąć przez każdy dzień, to jednak ciągle jeszcze otaczała ją ta dziwna, otumaniająca warstwa, która utrzymywała cały świat bardzo daleko od niej.

Tak było do chwili, gdy zobaczyła tamtą ulotkę. Już zabierała się do otwierania następnej koperty, gdy jej spojrzenie padło na zdjęcie.

Zdjęcie przedstawiało chłopca. Miał ze dwanaście lat. Ubrany w podarte spodenki i koszulkę, bez butów, skulony spał w jakiejś bramie.

Coś w tym zdjęciu przyciągnęło jej uwagę. Nie widziała twarzy chłopca, tylko długie ciemne włosy. Przyglądała się zdjęciu przez dłuższą chwilę.

Potem otworzyła ulotkę.

Mówiono w niej o organizacji charytatywnej z Ameryki Łacińskiej, zajmującej się bezdomnymi dziećmi. Organizacji specjalizującej się w znajdowaniu domu, schronienia i bezpieczeństwa dla tych dzieci, które nie miały nic. W środku było więcej zdjęć. Małe dzieci, brudne i bose, grzebiące w śmieciach. Rodzina gotująca posiłek przed jakąś rudera, matka o martwych oczach, rozpaczliwie chude dzieci, patrzące obojętnie w kamerę.

Zaczęła czytać. Na końcu tekstu pytano: „Jak możesz im pomóc?”. Odłożyła ulotkę na biurko i wyciąg-

nęła z szuflady książeczkę czekową. Nie będzie mogła dać tyle, ile zwykle dawała, ale jednak coś da.

Pomyślała o pieniądzach, które zapłaciła Diegowi Saezowi. Zebrała je, sprzedając akcje, chociaż jej makler bardzo ją od tego odwodził.

- Chcę zebrać milion funtów w gotówce, natichmiastr - przerwała jego wywody i odłożyła słuchawkę.

Milion funtów za seks.

Wprost nieprzyzwoita suma.

Ale to był jedyny sposób, by pozbyć się z żył trucizny.

Trucizny, którą on w nią wsaczył.

Gorzko się uśmiechnęła. On już tyle miał, a teraz dostał jeszcze milion funtów. Podczas gdy tamte dzieci są głodne, brudne, i nie mają domu.

W jego własnym kraju.

W Maragui.

Organizacja charytatywna ratowała bezdomne dzieci w San Cristo, stolicy jego ojczystego kraju.

Czy on w ogóle wie, że są tam takie dzieci? - myślała, a gorycz ogarniała jej duszę. Ich okropne życie jest tak dalekie od jego luksusowej, złotej egzystencji, jakby to były dwie różne planety.

Jej spojrzenie jeszcze raz padło na słowa: „Jak możesz im pomóc?”.

Po raz drugi przeczytała ulotkę. A gdy skończyła, sięgnęła po telefon i wybrała widniejący tam numer. Cichy rewanż za styl życia Diega...

Ojciec Tomaso wyszeptał błogosławieństwo,

przeżegnał się i usiadł do kolacji, a wtedy skupienie, w jakim wszyscy wysłuchali modlitwy, prysło, dzieci natychmiast się rozgadały, najstarsze zaczęły rozdzielać jedzenie.

- A więc - obrzucił spojrzeniem dorosłych przy swoim stole - jak wam się podoba najnowsze żniwo wolontariuszy? Dobrze mieliśmy zbiory w tym sezonie, prawda?

Uśmiechnął się zachęcająco. Chociaż stary, nadal był pełen energii. Pracował z determinacją i wielkim zaangażowaniem.

- Ojcie, możesz to powtórzyć po angielsku? - poprosił młody mężczyzna. Mówił z amerykańskim akcentem.

Wielu wolontariuszy pochodziło z Ameryki i z Anglii, większość z nich to byli studenci, przyjeżdżający tu pracować podczas wakacji. Portia czuła się przy nich stara, ale nie niemile widziana.

Rozejrzała się. Stołówka zajmowała sporą salę. Na jej białych ścianach dzieci namalowały biegnący dookoła fresk: tęczę i zwierzęta, niektóre o dość nieprawdopodobnej anatomii, ale wszystkie wykonane z entuzjazmem i radością.

To ich arka, pomyślała. Ich schronienie przed burzą.

I moje...

Schronienie przed burzą, która niemal ją zniszczyła. Przed burzą, którą Diego Saez rozpętał w jej życiu.

Obawiała się, że już nigdy nie wróci do równowagi.

Bo chociaż złość i poczucie winy odeszły, zmyte w chwili, gdy tak gwałtownie wybuchnęła i powiedziała, co o nim myśli, to jednak to, co pozostało, nadal bezlitośnie ją dręczyło.

Był to ból, który nie opuści jej do końca życia.

Ból, bo zakochała się, zakochała mimo wszystko, co jej zrobił.

Ojciec Tomaso znów coś mówił.

- Jutro będziemy mieli gości, nowego wolontariusza! Nie może zostać długo, ale mam nadzieję, że póki tu będzie, znajdziecie mu robotę. Jest silny, więc powinien pomóc na budowie. Ściany nowego szpitala już urosły wysoko, ale muszą być jeszcze wyższe. No i ciągle brakuje dachu.

- Ojczy, kto to jest? - spytał jeden z obecnych.

- To wyjątkowy człowiek. Kiedyś tu mieszkał. Przyszedł tu, do nas, na pół zagłodzony z ulicy, ale nie pochodzi z San Cristo. Przyjechał ze wsi, włóczęga, bez rodziny. Nie miał nic. A teraz... Teraz ma wszystko, co tylko można kupić za pieniądze. - Ciemne oczy ojca Tomasa posmutniały. - Ale nic z tego, czego za pieniądze się nie kupi.

- Jest bogaty, a będzie pracował przy budowie?
- zdziwił się ten, który zadał pytanie.

- Jeszcze o tym nie wie - odparł sucho ojciec Tomaso.

Rozległo się kilka śmiezków.

- Z trudem go namówiłem, by przynajmniej przyjechał sprawdzić, na co idą jego pieniądze. Nie wie, że własnymi rękami przyczyni się też do samej budowy. Bo to o wiele ważniejsze. Niektórym ludziom łatwo

jest dawać pieniądze. Ale prawdziwy akt miłosierdzia przychodzi im o wiele trudniej.

Dlaczego, u diabła, zgodziłem się, gdy staruszek mnie prosił?

Diego wypił łyk brandy i ponuro wodził wzrokiem po hotelowym pokoju. Hotel był nowy, nie zatrzymał w sobie wspomnień, ale wspomnienia i tak napływały. Próbował je przegnać, nie odchodziły.

Zaczęły go nawiedzać w chwili, gdy wsiadł do samolotu. To była podróż, o której nigdy nie sądził, że ją podejmie. Której nie chciał podjąć.

Ale coś go tu przywiodło z powrotem. Po tylu latach coś spowodowało, że wrócił, chociaż sobie przysiągł, że jego noga nigdy już tu nie postanie.

Wrócił do Maragui.

Po tym, jak zatrzasnął drzwi prosto w twarz Mercedes de Carvello, więcej już nie odwiedził rodzinnego kraju. Wyjechał następnego dnia z twardym postanowieniem, że nigdy tu nie wróci.

Więc dlaczego tu jest? Bo prosił go o to stary ksiądz?

Ojciec Tomaso zapraszał go dziesiątki razy, a on zawsze odmawiał. Odmawiał czytania raportów o tym, jak wykorzystywano pieniądze, które przysyłał. Odmawiał zrobienia czegokolwiek więcej niż tylko dawania tego, co było dla niego najłatwiejsze: pieniędzy.

Więc dlaczego teraz się zgodził?

Wypił łyk brandy. Spływając do żołądka, paliła mu gardło.

Tak samo paliła go prawda.

Uniósł głowę, spojrzął w lustro wiszące na ścianie naprzeciwko niego.

W głowie tłukły mu się słowa. Okropne, pogardliwe.

„Spójrz w lustro i powiedz mi, czy jesteś dumny z tego, co widzisz”.

Brandy, którą pił, nabrała smaku żółci.

Tortuowało go poczucie winy.

I coś gorszego niż poczucie winy.

Strata. Strata tego, czego i tak nie miał. Bo nigdy jej nie miał, nie miał kobiety, którą bezlitośnie przesładował, którą chciał posiadać tylko dlatego, że jej zapragnął. A gdy zwykłe sposoby uwodzenia zawiodły, uciekł się do innych, godnych najwyższej pogardy.

I jeszcze starał się wmówić sobie, że postępuje słusznie.

I to napawało go największą goryczą. Bo nie było żadnego usprawiedliwienia dla tego, co jej zrobił.

Myślała, że urodził się w świecie bogaczy, którym tak gardził, świecie, który traktował takich jak on jak ludzkie odpadki, zmuszał do zapracowywania się na śmierć, zabijał jak psa pod kołami eleganckich importowanych samochodów.

A on myślał, że ona jest taka sama: zepsuta i nic niewarta. Dbająca tylko o swoje pieniądze. Że potrafi bez namysłu się sprzedać, by ocalić swój majątek.

Ale ona się sprzedała, by uratować brata. I zapłaciła za to. Milion funtów. Zapłaciła, by zedrzeć z niego trochę pychy, tak jak on zdierał z niej ubranie.

Nie! Nie może o tym myśleć! Nie może myśleć o najgorszym, o największym bólu, jaki go torturuje.

Spojrzał w twarz w lustrze. Ta twarz kpiła z niego, przesywała go gorzkim, szyderczym wzrokiem.

Stracił ją na zawsze.

I jego życie nie było już nic warte.

- Diego! Długo czekaliśmy na powrót syna mar-notrawnego.

W głosie ojca Tomasa brzmiał nieukrywany chłód.

Diego cierpko się uśmiechnął. Ojciec Tomaso postarzał się, ale nie zmienił.

- 'Więc pozwól, bym to ja kupił utuczone cielę - odparł, tak samo sucho.

- Żebyś mógł je sobie odliczyć od podatku? - zri-postował ojciec Tomaso.

Nie, pomyślał Diego. Staruszek się nie zmienił.

Ogarnęło go wzruszenie. Gdy wysiadł z samochodu - odsyłając do bogatszych dzielnic wyraźnie zadowolonego z tego kierowcę - emocje zalały go niepowstrzymaną falą.

Przeszłość i terażniejszość stopiły się w jedno. Wspomnienia stały się rzeczywistością. Czas się zatrzymał.

Rozejrzył się. Miejsce wyglądało tak samo, te same starannie podlewane kwiaty przy schodkach, te same białe ściany, te same jaskrawo pomalowane drzwi.

I ten sam zapach.

To uderzyło go najmocniej.

Minione lata zniknęły.

To właśnie zapach uderzył go za pierwszym ra-

zem, gdy ojciec Tomaso go tu przyprowadził. Głód kąsał mu wtedy żołądek. A to był zapach jedzenia. Ciepłego jedzenia.

I ten zapach nadal tu był. Poczował, jak ślina napływa mu do ust, tak samo jak ponad dwadzieścia lat temu.

Pewnie gotowano obiad, który zostanie podany zaraz po lekcjach. Wtedy długo się bronił przed uczęszczaniem na nie. Nie chciał tracić czasu na naukę pisania, liczenia. Gdy już napełnił żołądek, chciał wracać na ulicę, uciec od tej dobroczynności. Ale ojciec Tomaso zapowiedział: bez nauki nie ma jedzenia ani miejsca do spania.

I jeszcze powiedział, że tylko tchórze uciekają, gdy się boją. A strach to wstydliva sprawa.

Ojciec Tomaso miał rację. Więc poddał się.

Teraz wydawało mu się, że nic się tu nie zmieniło. Gdy mijali klasy, słyszał śmiechy, i dziecięce, i dorosłych, z którejś klasy doszedł go śpiew, z innej modlitwa.

Tyle że teraz było tu wszystkiego więcej niż za jego czasów. Wszystko wydawało się większe, do domu dobudowano drugie piętro i skrzydła. Dukupiono sąsiednią działkę. Zaczął słuchać, co ojciec Tomaso mówi. A on wskazywał szerokimi gestami, co zrobiono za pieniądze, które przysyłał.

- To jest szpital. Będzie służył nie tylko dzieciom, lecz także ich rodzinom i sąsiadom. Dzięki lekarzom i pielęgniarkom, którym płacisz pensję, możemy im zapewnić podstawowe leczenie. W poważniejszych przypadkach musimy ich przekonywać, by udali się

do tego eleganckiego szpitala, który wybudowałeś w mieście.

- Powiedz mi, ojcie - głos Diega nadal był tak samo suchy jak głos księdza - czy raczej wolałbyś, żebym nie wybudował dla ludzi z San Cristo bezpłatnego szpitala?

- Wolałbym raczej, byś dawał z serca, a nie z portfela, tego portfela, dla którego żyjesz, wypychając go coraz mocniej. Diego, twój portfel jest już wystarczająco gruby. Ale twoje serce jest wychudzone jak głodujący chłopiec.

Diego poczuł złość, a może coś innego.

Chwycił ojca Tomasa za rękaw i zatrzymał.

- To mój portfel płaci za to wszystko! Płaci za setkę miejsc takich jak to! - Szerokim gestem objął całe schronisko. - Płaci za szpital w mieście i w tuzinie innych miast Maragui. Płaci za to, by nie wycinano waszych lasów, by nie zanieczyszczano waszych rzek. Płaci farmerom, by kupili sobie maszyny, których potrzebują, i kupcom, by mogli kupić towary na sprzedaż. Jego waga pomaga nawet przypominać naszym politykom, że byłoby bardzo nierozsądnie z ich strony życzliwie słuchać ludzi narzekających, że ich podatki są marnowane na budowę szkół dla wieśniaków, którzy do tej pory byli niewolnikami w ich fabrykach, estancjach czy na ranczach!

Ojciec Tomaso spojrzał na niego ze smutkiem.

- Diego, tak daleko doszedłeś. Tak bardzo daleko. Tyle osiągnąłeś. Świat należy do ciebie. Dlaczego więc twoja twarz jest wychudzona jak u starca, a oczy patrzą smutno, jak u zagłodzonego zwierzęcia? Die-

go, dlaczego wróciłeś? Dlaczego teraz? Dlaczego porzuciłeś, nawet jeżeli tylko na krótko, swoje wspa-
niałe, złote życie?

Słońce niemiłosiernie prażyło Diega w głowę. Powietrze pachniało spalinami. Puścił rękaw ojca Tomasa i spojrzał gdzieś w bok. Na sercu leżał mu gład, tak samo ciężki jak blok betonu, który stanie się bramą szpitala, budowanego za jego pieniądze.

- A więc - spytał - kiedy zaczniesz działać?

- To zależy - odpowiedział ksiądz, a w jego głosie znów zabrzmiała sucha nutka - od tego, ilu robotników uda nam się zatrudnić. Na szczęście przynajmniej dziś mamy jednego dodatkowego.

Popatrzył taksująco na mężczyznę stojącego obok, mężczyznę, który swój majątek liczył w miliardach.

- Cieszy mnie, synu, że te wątpliwej wartości kluby zdrowia, do których należysz i do których wstęp kosztuje niebotyczne sumy, utrzymują, cię w dobrej formie. A teraz daj mi marynarkę, i krawat, i te śliczniutkie złote spinki do mankietów, i zegarek, który podaje ci czas w każdej strefie, w której robisz pieniądze, i zabieraj się do roboty.

Diego spojrzał na niego, nie wierząc w to, co słyszy.

Ojciec Tomaso odpowiedział mu obojętnym spojrzeniem.

- Nie sądzisz, że to wstyd - mruknął - by dorosły mężczyzna bał się ucziwej pracy, skoro nawet dzieci chętnie się do niej zabierają?

Wskazał plac budowy, gdzie dzieci, ustawione w szereg, podawały sobie dachówki, śmiejąc się przy tym i rozmawiając.

Przez chwilę trzymał jeszcze wzrok Diega jak na uwięzi, a potem Diego ponuro, z zaciśniętymi ustami, zdjął swoją ręcznie szytą marynarkę, jedwabny krawat, wyjął złote spinki z mankietów, zdjął złoty zegarek i bez słowa podał je księdzu.

Ksiądz je wziął, jego twarz nadal pozostawała obojętna. Ale pod tą obojętnością jego serce się rozradowało po raz pierwszy, odkąd chłopiec, którego kiedyś znalazł śpiącego w bramie, przyjechał dziś rano w lśniącej, prowadzonej przez kierowcę limuzynie. Diego Saez mógł sobie piorunować go wzrokiem, ale jego oczy nie wyglądały już jak oczy zagłodzonego psa.

Malowała się w nich jedynie złość.

Gdy patrzył, jak jego były podopieczny, podwijając rękawy nieskazitelnie białej koszuli, idzie zdecydowanym krokiem na plac budowy, miał nadzieję, że postąpił słusznie. Zbawienie nigdy nie jest łatwe, ale Diego Saez w tej chwili bardzo go potrzebował.

Bo wierzchem jechał na nim szatan i pożerał jego duszę.

Diego podszedł do na pół ukończonej budowy. Stojące w szeregu dzieci przestały podawać sobie dachówki i wpatrzyły się w niego.

- To ty jesteś nowym pomocnikiem? - spytał w końcu jeden z chłopców. - Ojciec Tomaso mówił, że dziś ktoś przyjdzie.

- Naprawdę? - mruknął ponuro Diego. - Mogłem się tego spodziewać.

- Wyglądasz na zbyt bogatego, by pracować - za-

uważyła dziewczynka, może dwunastoletnia. - Masz czyste buty.

- Nie przejmuj się. Zaraz się zabrudzą. Gdzie mają iść te dachówki?

Wziął całe naręcze.

- Tam, na drugą stronę, gdzie pracują dorośli. Nie upuść ich, są drogie - ostrzegł go chłopiec, który przedtem się odezwał.

- Postaram się - obiecał Diego.

- Mówisz tak jak my - zauważył inny chłopiec.

Diego zastygł. Nie zdawał sobie sprawy, że odpowiada im w ich ulicznym slangu.

- Kiedyś tu mieszkałem - wyjaśnił.

- Ale jesteś bogaty - nie ustępowała dziewczynka.

- Gdy tu mieszkałem, nie byłem bogaty.

- Ojciec Tomaso mówi, że wszyscy jesteśmy bogaci - odezwał się inny chłopiec. - Codziennie jemy, mamy łóżko do spania i czyste ubrania do noszenia. Mówi, że dzięki temu jesteśmy bogaci.

Diego spojrział na nich, na ich porządnie ostrzyżone włosy, wesołe oczy, niezamglone teraz głodem, alkoholem czy narkotykami.

- Tak - zgodził się. - Ojciec Tomaso ma rację.

- On zawsze ma rację - powiedział chłopiec, który przedtem go ostrzegął, by nie upuścił dachówek. - Zaniesiesz wreszcie te dachówki na miejsce, czy też będziesz tak z nimi stał przez cały dzień? Muszą być dziś położone.

- Jak każesz, szefie - powiedział Diego i ruszył.

Dachówki nie wydawały mu się już aż takie ciężkie.

Portia usłyszała energiczne walenie drewnianą łyżką o metalowy garnek. To było wezwanie na obiad. Zakończyła lekcję, odesłała dzieci, by umyły ręce, schowała wysłużone podręczniki do szafki i poszła do swojej małej sypialenki. Była cała spocona, więc chciała się odświeżyć i zmienić bluzkę.

Pokoje wolontariuszy znajdowały się w bocznym skrzydle budynku. Wychodząc na jaskrawe słońce, oślepią zmrzyła oczy. Gdy wzrok się przyzwyczaił, zobaczyła poranną zmianę ochotników i dzieci wracające z budowy.

Jeszcze raz zamrugła.

A potem zastygła w miejscu.

Nie! To nieprawda!

Przez podwórze szedł Diego Saez.

Zachwiała się i chwyciła framugi drzwi. Powietrze uciekło jej z płuc.

To nie może być on! Nie może!

Ale to był on. Jego wzrost, jego szerokie ramiona, jego ciemne włosy, jego rysy. On. Diego Saez.

Zamarła, jakby krew w jej żyłach przemieniła się w lód, i stała, niezdolna do najmniejszego nawet ruchu.

Diego, spocony jak ruda mysz, pomyślał, że przytyk ojca Tomasa na temat klubów zdrowia mógł nawet być słuszny, ale istniała zasadnicza różnica między ćwiczeniami w klimatyzowanej sali a robotą na palonym słońcem placu budowy. Jednak nie zamierzał narzekać. Przecież razem z nim pracowali studenci, kilku starszych mieszkańców miasta, dzieci i wszyscy jakoś to wytrzymali.

Ale ucieszył się, gdy dano sygnał na koniec pracy.

Wracając do budynku, zastanawiał się, jakie jeszcze niespodzianki trzyma dla niego w zanadrzu ojciec Tomaso.

Był w dziwnym nastroju. Dwie godziny ciężkiej pracy spowodowały, że przestał myśleć o swoich zmartwieniach. Co więcej, był prawdziwie zadowolony. Z tego, że dotrzymał kroku reszcie robotników. I z tego, że chociaż chodził jak w kieracie, pracował z własnej woli dla czegoś, co było ważne.

Inni traktowali go nieufnie. Widział to. Miejscowi robotnicy zachowywali się z dystansem, nawet wolontariusze z początku czuli się niezręcznie. Ale nie ma nic lepszego niż wspólna praca, żeby przełamać bariery. Zwłaszcza gdy niektórzy z tych współpracowników to dzieci. Teraz, gdy szedł przez podwórze, swobodnie już z nim rozmawiały.

Uniósł wzrok na budynek. Znów ogarnęło go to poczucie jedności czasu, przeszłość zlała się z terażniejszością. Na chwilę minione lata zniknęły i zobaczył tego chłopca, którym był kiedyś, w innym życiu.

A potem, gdy jego spojrzenie przesunęło się na drzwi wiodące do klas, zszokowany zatrzymał się w pół kroku.

W drzwiach stała Portia Lanchester.

Powoli, bardzo powoli, uniósł rękę i otarł z oczu pot. To halucynacja. Omam. Wizja.

Wspomnienie.

Nawiedzają go duchy i torturują.

To nie może być Portia. Nie może! Ona jest tysiące kilometrów stąd, w tym pięknym osiemnasto-

wiecznym domu, gdzie przynależy. Tak samo daleka, jakby była zamknięta za szklaną ścianą, jak cenny, nieosiągalny klejnot.

Potem, gdy znów spojrzął, postać w drzwiach, która wyglądała jak Portia, ale nie mogła nią być, odwróciła się i zniknęła.

Portia zatoczyła się do wewnątrz. Dobry Boże, to on!

Nie omam, nie halucynacja. To Diego Saez. Tu. Teraz.

Na oślep pobiegła korytarzem. Serce jej waliło, nie mogła oddychać.

- Portia!

Stanął.

To był jego głos.

Szorstki, żądający posłuchu.

Jeszcze raz wypowiedział jej imię i tym razem głos nie był już szorstki, niczego nie żądał, był jednak dziwny, bardzo dziwny.

Jakby on też zatonął w powodzi niewiary, która ciągnęła ją na dno.

Powoli, bardzo powoli odwróciła się.

A gdy na niego spojrzała, serce jej się ścisnęło. Nie zwalczyła nałogu. Nadal go pragnęła.

- Skąd się tu wzięłaś? - spytał.

Jego głos był dziwny, bardzo dziwny.

A jednak taki znajomy.

Kolana zaczęły się pod nią uginać, wyciągnęła rękę, by oprzeć się o ścianę.

Popatrzyła na niego.

To był Diego Saez, ale nie do końca on.

Nie miał na sobie marynarki, na białej, mokrej od potu koszuli, widniały smugi kurzu.

Stała zszokowana, zszokowana jego wyglądem, jego obecnością.

A potem w tej ciszy, która między nimi zapadła, dały się słyszeć czyjeś kroki.

Ojciec Tomaso.

Gdy zobaczył ten zastygły obraz, zatrzymał się. Przez chwilę wodził spojrzeniem między dwiema jakby zamrożonymi postaciami, zanim się odezwał. Ton był obojętny, ale w oczach malowało się zrozumienie.

- Ach, Portia, chciałbym ci przedstawić naszego ostatnio zatrudnionego wolontariusza. To właśnie o nim mówiłem wczoraj wieczorem.

Przesunęła spojrzenie na księdza.

- To niemożliwe! Znam tego człowieka. To milioner! On... on...

- Kiedyś tu mieszkał - powiedział ojciec Tomaso. Pokręciła głową.

- Nie! To nie może być prawda! Nie może!

- Znalazłem go śpiącego w jakiejś bramie. Miał dwanaście lat - kontynuował ojciec Tomaso, nie spuszczać z niej wzroku. - Miałem przy sobie trochę jedzenia. Obudził się, jakby wyczuł niebezpieczeństwo. Może poczuł też zapach jedzenia. Podałem mu je, ale nie wziął. Uciekł, podejrzliwy, ostrożny. Patrzyłem za nim. Nie miał butów, był wychudzony, sama skóra i kości. Następnego dnia znalazłem go w innej bramie. Znowu dałem mu jedzenie i powiedziałem, że jestem

księdzem, a nie kimś, kto mógłby go skrzywdzić. Tym razem zjadł, po prostu pożarł to, co mu dałem, i znów uciekł. Zajął mi całe tygodnie, zanim zgodził się tu przyjść, ale i tak jeszcze wiele razy uciekał. W końcu jednak został. Aż do czasu... - ojciec Tomaso przerwał, i spojrzał na Diega. - Aż do czasu, gdy uciekł po raz ostatni. Do świata, który zdobył.

Nie spuszczał teraz spojrzenia z Diega.

- Ale czy naprawdę zdobyłeś świat? Czy też świat zdobył ciebie?

Twarz Diega stężała, była twarda jak stal. Nie odpowiedział. Po prostu odwrócił się, żeby odejść.

- Diego, znów uciekasz?

- Nie - mruknął szorstko. - Po prostu wracam do grona potępionych.

- Nie jesteś potępiony.

Ksiądz powiedział to ze spokojną pewnością, która doprowadziła Diega do furii.

Odwrócił się z powrotem.

- A co ty o tym możesz wiedzieć? Stoisz tu i mnie dręczysz, ale nic nie wiesz. Spytaj ją, czy nie jestem potępiony. No, spytaj ją!

Głos z trudem wydobywał mu się z gardła.

Z twarzy Portii odpłynęła cała krew.

- Niech ci powie, co jej zrobiłem.

Ksiądz odwrócił się do Portii.

- Czy on jest potępiony? - spytał niemal konwersacyjnym tonem.

Serce waliło jej w piersi, oddychała spazmatycznie. Spojrzała Diegowi w twarz. Była zacięta, stężała od napięcia.

To był on, a jednocześnie nie on.

Przed oczami stanął jej obraz Diega takiego, jakim go znała. Elegancki, władczy, bogaty.

Kupuje ją i bierze jak swoją własność.

Sięga po nią, zdiera z niej ubranie, kładzie na łóżku...

W tę wizję wdarł się inny obraz. Fotografia chłopca śpiącego w bramie, fotografia, która zrobiła na niej takie wrażenie, że z jakiegoś powodu, którego nigdy do końca nie zrozumiała, przyjechała tutaj, porzucając wszystko, co kiedyś uważała za swój świat.

Świat, który zniszczył Diego Saez.

Te dwa obrazy zderzyły się ze sobą, potem rozplynęły się i przemieniły w jeszcze inny.

Mężczyzna i chłopiec.

Jakieś emocje przepełniły jej serce, emocje tak silne, że nie mogła ich zablokować.

- Portia - Diego wypowiedział jej imię niskim, niemal skrzeczącym głosem. - Nie patrz tak na mnie. *Por Dios!* Przestań tak na mnie patrzeć! Po wszystkim, co ci zrobiłem, nie zasługuję na twoją litość. Jedynie na pogardę!

Nie mogła mówić. Mogła tylko powoli pokręcić głową.

Diego zamknął oczy, a potem znów je otworzył.

- Nie usprawiedliwaj mnie. To, co zrobiłem, zrobiłem świadomie. Myślałem, że to ci się należy. Myślałem, że jesteś taka sama jak... Głos mu się załamał. A potem cicho dokończył: - Jak Mercedes de Carvello. - Głos miał płaski, oczy martwe. - Była żoną właściciela estancji, w której się urodziłem.

I gdzie pracowali moi rodzice. Otruli mojego ojca. Ona zabiła moją matkę. Pijana, przejechała ją jak psa swoim sportowym samochodem. Oskarżyłem ją o morderstwo, a ona wyrzuciła mnie z posiadłości. Przysiągłem sobie wtedy, że kiedyś będę bogaty. Poszedłem do San Cristo. Ojciec Tomaso znalazł mnie na ulicy. Całe lata później, gdy rzeczywiście byłem bogaty, kupiłem estancję od Estebana de Carvello, który do tej pory zdążył już przepuścić cały swój majątek. Jego żona przyszła do mnie do hotelu i ofiarowała mi się, mnie, synowi swojej służącej, w zamian za to, że pozwoliłbym jej zostać w rodzinnym domu. Wyrzuciłem ją za drzwi. - Na chwilę zamilkł, a potem kontynuował: - Myślałem, że jesteś taka jak ona: że mi się oddajesz, żeby ocalić swoje bogactwo. Myślałem, że twoja niechęć, tak samo jak u Mercedes de Carvello, spowodowana była tym, że uważałaś się za zbyt dobrą dla mnie i nie chciałaś się zbrukać, dotykając mnie. Tak więc sprawiłem, żebyś sama chciała się zbrukać...

Portia stała osłabła, tylko jej serce bilo jak szalone. Głos Diega dochodził do niej z bardzo daleka.

- Mówi się, że za każdy uczynek wymierzana jest człowiekowi sprawiedliwość. I mogę zaświadczyć, że to prawda. Tak bardzo pragnałem cię mieć w łóżku. Ale ty byś nie przyszła. Uważałaś się za zbyt dobrą dla mnie. Więc dałem ci... bodziec. - Wziął jeszcze jeden głęboki, bolesny oddech. I sprawiedliwość, straszliwa sprawiedliwość, została mi wymierzona. - Patrzył jej teraz w oczy. - Niech pogarda, którą do mnie żywisz za to, co ci zrobiłem, będzie dla

ciebie pociechą. Wiedz, że sprawiedliwości stało się zadość. Bo za tę krzywdę, którą ci wyrządziłem, spotkała mnie sprawiedliwa kara. - Twarz miał martwą, gdy mówił dalej. - Portio, zakochałem się w tobie. W tobie, która możesz czuć do mnie tylko wstręt i nienawidzić mnie, i przeklinać. I każdego dnia, każdego dnia do końca życia będę się budził, wiedząc, że mnie nienawidzisz. Przez całe życie. Dlatego właśnie - oderwał spojrzenie od Portii i zwrócił się do ojca Tomasa -jestem potępiony. Więc nieważne, co zrobię z resztą mojego życia, tu czy gdziekolwiek indziej. Nic już nie jest ważne.

Odwrócił się.

Z ust Portii wydarł się jakiś dźwięk. Cichy, urwany szloch.

Ojciec Tomaso spojrzał na nią z pytaniem w oczach.

- A teraz - powiedział spokojnie - twoja kolej. Ty masz w ręku klucze do jego więzienia. Czy go uwolnisz? Czy też każesz mu pozostać w tym piekle? Wybór należy do ciebie.

On też się odwrócił i odszedł.

Chciała go zawołać. Pobiec za nim. Ale on szedł, a jej nogi nie mogły się poruszyć, gardło miała zaciśnięte.

Jego słowa huczały jej w głowie.

„Wybór należy do ciebie”.

Wybór. Nie miała wyboru. Gdy nad Salton, nad domem jej brata, zawisła groźba, nie miała wyboru. Żadnego wyboru, prócz zrobienia wszystkiego, co było w jej mocy, by uratować dom. Żadnego wyboru, prócz zgody na warunki, które postawił Diego Saez.

Prócz pójścia do niego. Żadnego wyboru, prócz pozwolenia mu, by zdarł z niej ubranie i wziął to, czego mu odmawiała. Czego odmawiała, bo nie chciała być jeszcze jedną kobietą, którą się zabawi i rzuci, by przejść do następnej.

A gdy zdarł z niej ubranie i wziął ją do łóżka, nie miała wyboru - żadnego wyboru, prócz pogodzenia się ze wstydem, straszliwym, unicestwiającym wstydem, że Diego Saez - który ją kupił i posiadał - rozpałił w niej ogień, którego już nie potrafiła ugasić.

Pożądała mężczyzny, który zrobił jej to wszystko. Bardziej niż pożądała.

Cisza wokół niej rozciągała się. Odgłos kroków ojca Tomasa zamarł w oddali. Czas się zatrzymał.

„Wybór należy do ciebie”.

Te słowa huczały jej w głowie.

Spojrzała na Diega. Stał nieruchomo, odwrócony plecami do niej, ramiona miał skulone, ręce zaciskał na framudze drzwi. Powoli zrobił krok do przodu.

Wybór należy do niej. Teraz. Tutaj.

Może pozwolić mu iść. Pozwolić, aby przeżył resztę życia, przeklinając siebie samego, nienawidząc się.

Albo...

Pomyślała o tym, kim był kiedyś. Zagubionym, głodnym chłopcem. Bez rodziny, bez domu. Nie miał nic. Nawet butów. Sypiał w bramach. Jak chłopiec, którego zdjęcie ją tu przywiódło.

Gdy zaczął iść, wyciągnęła do niego rękę. Drżącą rękę. A gdy dotknęła jego rękawa, zastygł.

Podeszła o krok.

- Diego - szepnęła.

Widziała, jak bardzo był spięty.

- Diego - powtórzyła. - Ja...

Nie mogła mówić dalej. Gardło jej się zacisnęło, brakowało jej tchu.

Zaszlochała cicho, urywanie.

Odwrocił się do niej. Ręka jej opadła i tylko stała nieruchomo.

Jej spojrzenie zwarło się z jego spojrzeniem.

Jego twarz była wyzuta z wszelkiego wyrazu, a oczy martwe.

Serce jej się rozrywało na strzępy.

Chwając się, zbliżyła się jeszcze o krok. Wyciągnęła obie ręce.

Dokonała wyboru.

A gdy go dokonała, emocje, które zalewały jej serce, zaczęły nabrzmiwać, płynąć, opływać ją całą jak wielka, oczyszczająca fala. Zmywała wszystko.

Wstyd. Poczucie winy. Złość. Nienawiść.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocno, z całej siły.

Przez chwilę, tak długą, że wydawała się wiecznością, stał zmrożony, nieruchomy. A potem powoli, bardzo powoli, jego ręce się poruszyły i objęły ją. Najpierw niepewnie, a potem nagle, z siłą rozpacz, zacisnęły się wokół niej jak stalowe obręcze.

Oddychał urywanie, poczuła, jak drży. Objęła go jeszcze mocniej. Nie wiedziała, jak długo tak stoją. Wiedziała tylko, że nigdy już go nie puści. Że nie może go puścić.

Z oczu popłynęły jej łzy. Zaszlochała.

- Portia! Nie płacz. Dobry Boże, nie płacz!
Ale ona nie mogła przestać. Wylewała całe oceany łez.

Uścisk zelżał, Diego zaczął łagodnie ją głaskać po włosach.

Uniosła głowę. Na oślep, instynktownie.

Nie potrafił się powstrzymać.

Pocałował ją.

W upale południa mały pokoik był rozgrzany jak piec, ale to jej nie przeszkadzało. Nawet gdyby wokół płonęły piekielne ognie, i tak byłaby w niebie.

Zdjęła mu koszulę i pocałowała w pierś. Zadrżał.

Pociągnęła go na łóżko i z całej siły objęła.

- Portia - wyszeptał.

- Tak bardzo cię pragnę - powiedziała. - Tak bardzo.

W tym wąskim łóżku ledwie się mieścili. Ale nie zważali na to. Obejmowali się, on mówił coś po hiszpańsku; łagodne, czułe słowa, które tylko częściowo rozumiała, a mimo to wiedziała, że jeszcze nigdy w życiu ich nie wypowiedział.

To był dla nich obojga nowy świat.

Później, o wiele później, leżeli objęci. Przez długi czas nic nie mówili, tylko leżeli w ochronnej kołysce swoich ramion. Potem powoli, z ociąganiem, Diego się odezwał.

- Portio, jesteś moim życiem. Na zawsze. Cokolwiek się zdarzy, jakikolwiek będzie mój los, jest on w twoich rękach.

Przycisnęła usta do jego szyi. Wypełniło ją uczucie spokoju, jakiego nigdy jeszcze nie zaznała.

- Kocham cię - powiedziała. I to była prawda. Cała prawda, i tylko prawda.

Jego ramiona zacisnęły się jeszcze mocniej wokół niej.

- Po wszystkim, co ci zrobiłem?

- Minęło. Tego już nie ma. Zostało zmyte.

- Uniosła głowę, by spojrzeć na niego. - Teraz rozumiem, jakie demony cię nawiedzały. Dlaczego myślałeś, że jestem taka sama jak tamta kobieta. I nie jestem wcale dumna z tego, co zrobiłam, ale nie zrobiłam tego dla siebie. Przysięgam ci, że zrobiłam to dla brata. Dlatego wręczyłam ci te pieniądze. Żeby kupić sobie z powrotem szacunek dla siebie.

Oczy jej spochmurniały.

- Sądziłam, że jesteś nic niewart. Zepsuty, arogancki, myślący tylko o sobie. Ale przez to jeszcze bardziej się nienawidziłam. Bo zakochałam się w tobie, mimo że mnie skrzywdziłeś. - Nabrała spazmatycznie powietrza. - Wiedziłam, że po to, by odciąć się od tego, jakoś egzystować, muszę całkowicie odmienić swoje życie. Gdy zobaczyłam zdjęcie w tamtej ulotce, zdjęcie chłopca śpiącego na ulicy, coś mnie chwyciło z wielką mocą za serce. I wtedy już wiedziałam, co mam zrobić. To była jedyna droga do zdrowia: nadać mojemu życiu jakiś sens. Ale nigdy nawet nie przyszło mi do głowy - bo i jak by mogło! - że ty też byłeś takim chłopcem. I nigdy nie sądziłam, że znajdę tu ciebie, prawdziwego ciebie.

- Portio, jestem dokładnie taki, za jakiego mnie

uważałaś - powiedział udręczonym głosem. - Zepsuty, arogancki i myślący tylko o sobie. Jestem winny wszystkiego, o co mnie oskarżasz. Pragnąłem cię - tak jak powiedziałaś -. dla jeszcze jednego przelotnego romansu, jednego seksualnego kaprysu więcej, takiego, jakie wypełniały moje życie. Ale sprawiedliwość mnie dopadła. Dopadła, ukarała i wyszydziła. - Przerwał na chwilę, a potem ciągnął w męce. - Wypierałem się tego, co się ze mną działo. Nie pozwalałem sobie przyznać, że czuję do ciebie cokolwiek więcej niż tylko pożądanie. Ale niezależnie od tego, ile razy cię miałem, chciałem więcej. W końcu uświadomiłem sobie, jaka jesteś dla mnie niebezpieczna. Bo uważałem cię za godną pogardy kobietę, taką jak Mercedes de Carvello. Tak więc kazałem ci odejść. - Zaciśnął mocniej ramię wokół niej, wyczuła, jaki jest napięty. - Myślałem, że skończyłem z tym, ale to nie skończyło ze mną. Byłaś we mnie, jak ciągle powtarzające się echo. Nie mogłem go zmusić do zamilknięcia. Sięgnąłem po inne kobiety, ale nie byłem w stanie ich dotknąć. Pragnąłem tylko ciebie. Kobiety, która mi się sprzedała. - Wziął ciężki, drżący oddech. - Ale nie obchodziło mnie to. Nie obchodziło, po prostu cię pragnąłem. Byłem chory z pożądania tego dnia, gdy przyszłaś i rzuciłaś mi w twarz czek. Wiedziałem, w jakim jestem niebezpieczeństwie. Kochałem kobietę, która mnie nie nawidziła. - Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w sufit. - Kazałaś mi spojrzeć w lustro. I gdy w nie patrzyłem, uświadomiłem sobie, że jestem potępiony i że sam do tego doprowadziłem. Straciłem nadzieję,

że kiedyś będę z tobą. Straciłem wszelką nadzieję. Moje życie stało się puste i nic niewarte, jak wyschnięta łupina. Potem... Potem skontaktowałem się ze mną ojciec Tomaso. On zawsze odzywa się dwa razy do roku, żeby mnie namówić na przyjazd. Nigdy nie przyjąłem zaproszenia. Nigdy. Ani razu od czasu, gdy wyrzuciłem Mercedes de Carvello za drzwi. Ale tym razem... tym razem wróciłem.

Przytuliła go mocniej.

- Diego, wróciłeś do domu - powiedziała miękko. - A ja byłem tutaj, czekałam na ciebie, chociaż o tym nie wiedziałam. Czekałam na prawdziwego Diega Saeza, nie tylko tego chłopca, który sypiał w bramach domów, lecz na mężczyznę, którym jest teraz, który dzieli się swoim bogactwem z potrzebującymi.

Przycisnął ją z całej siły do siebie.

- Mogą mieć moje pieniądze, ale ty, Portio, masz moje serce.

- Niczego więcej nie pragnę - odpowiedziała.

Salton pławiło się w południowym upale. Kamienne ściany w kolorze miodu promieniowały ciepłem, słońce odbijało się w niezliczonych oknach.

Portia stała na trawniku, Diego otaczał ją ramieniem. Pochyliła się ku niemu, skłaniając głowę tak, by nie zgnieść szerokiego ronda kapelusza. Wypełniało ją głębokie poczucie szczęścia.

Nie ustawiono markiz ani namiotów. Pogoda późnego lata była piękna. Weselne śniadanie podano na stołach rozstawionych pod dębami.

- Widzisz? Mówiłam ci, prawda?! - wykrzyknęła Susie Winterton, podchodząc do nich. - Mówiłam, że on jest dokładnie tym, kogo potrzebujesz. - Uśmiechnęła się radośnie do Diega. - Mówiłam jej, wtedy, w operze! Powiedziałam jej, że ty jesteś tym, co przepisałby jej lekarz! I mówiłam, że ożenisz się z nią i porwiesz na swoje fantastyczne rancho w Argentynie, gdzie gracie w polo!

Westchnęła w rozmarzeniu.

- To Maragua, Susie. W Ameryce Środkowej, a nie w Południowej - wyjaśniła Portia.

- Nieważne. - Susie obojętnie wzruszyła ramionami.

- I nie gramy w polo - dodał Diego z uśmiechem.

- Jestem pewna, że jest tam wspaniale, niezależnie od tego, co właściwie robicie. I jestem pewna, że będziecie tak szczęśliwi, że ludzie będą się zatrzymywać i klaskać! A niedługo będziecie też mieli cudowne dzieci. Mnóstwo cudownych, rozkosznych dzieci!

Portia poczuła, jak ręka Diega zaciska się na jej ramieniu.

- Tak - przytaknął. - Będziemy mieli mnóstwo dzieci.

- Już mamy kilkoro - dodała Portia. - A będzie jeszcze więcej - powiedziała z nieukrywaniem wzruszeniem.

Susie spojrzała na nią zdumiona.

- Diego zamierza przekształcić swoją posiadłość w Maragui w dom dla dzieci - wyjaśniała Portia.

- Już teraz umieszcza bezdomne dzieci w schroniskach, ale tam będzie dzieciom o wiele lepiej.

Susie spojrzała na nią z podziwem.

- Och, to wspaniałe! - entuzjazmowała się. Znów westchnęła w rozmarzeniu. - Portio, los cię hojnie obdarował. Dostałaś mężczyznę, który jest wciele-
niem seksu, ma stosy pieniędzy i jest szczodry. Portio, ty rzeczywiście masz wszystko!

Ucałowała Portię w policzek, a potem, z serdecznym uśmiechem, również Diega, i odeszła.

- Naprawdę mam wszystko - powiedziała Portia, przytulając się mocniej do Diega. - Wszystko - i jeszcze więcej! Więcej niż sądziłam, że istnieje.

Diego uniósł jej twarz ku sobie.

- Więc jesteśmy w tym podobni - powiedział miękko, muskając jej wargi ustami. Patrzył na nią czule. - Bo przy tobie mam wszystko, czego tylko moje serce może zapragnąć.

Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy w milczącym zjednoczeniu serc. Z tego stanu wyrwał ich dopiero dźwięk uderzenia noża o kieliszek.

- Państwo młodzi! - zawołał ktoś.

Uniesiono w toaście kieliszki. Tom, bardzo elegancki w pasującym do pory dnia garniturze, i Felicity, otoczona białym obłokiem tiulu i koronek, podeszli do stołu, na którym stał weselny tort.

- To powinno być twoje wesele - szepnął Diego. - Tu jest twoje miejsce na ziemi.

Pokręciła głową.

- Moje miejsce na ziemi jest przy tobie - powiedziała po prostu. - I miałam wspaniałe wesele. Idealne.

Przed oczami stanęła jej, tak jakby to było wczoraj, mała kaplica w schronisku, zobaczyła siebie idącą

wąską nawą w sukience, którą uszyła jej jedna z dziewczynek, dzieci niosące kwiaty kroczą za nią, aż dochodzi do mężczyzny, czekającego przy ołtarzu, oboje klękają, a ojciec Tomaso udziela im ślubu.

Na to wspomnienie łzy zakreśliły jej się w oczach. Tak, dobrze wybrała, wybrały go serce, dusza i ciało. Spojrzała na Diega, mężczyznę, którego kocha i który kocha ją. Mimo to, co się wcześniej zdarzyło.

Czy może właśnie dlatego?

To nie miało już żadnego znaczenia. Ważne było jedynie to, że są razem. Że doszli do tego stanu idealnego szczęścia i pełnego wzajemnego zrozumienia.

Idealnej miłości.

Patrzył jej w oczy, a w niej było tyle szczęścia, że nie mieściło się w sercu.

Wzięła go za rękę i uściśnęła.

- Za państwa młodych - powiedział Diego, i uniósł kieliszek w toastie dla swojej własnej panny młodej.

Swojej prawdziwej miłości.